NON STOP – REMANENTY 9013

DON'T STOP

500 zł nr 10 -1989 r. cena ~~[illegible]~~ się nie udało

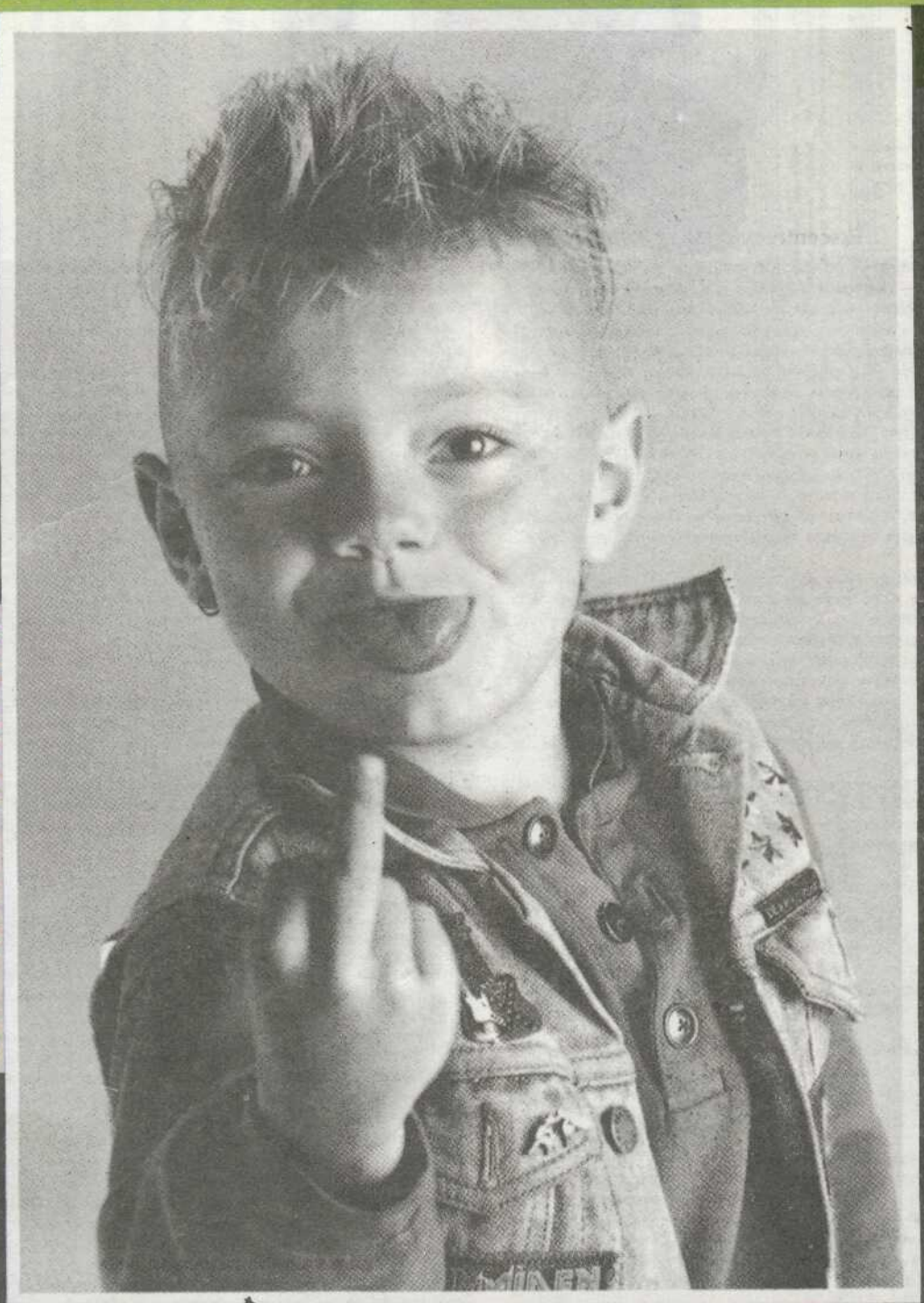

HET HAARTEN
© REIN VAN HOPPENHAGEN/GAVUS '86

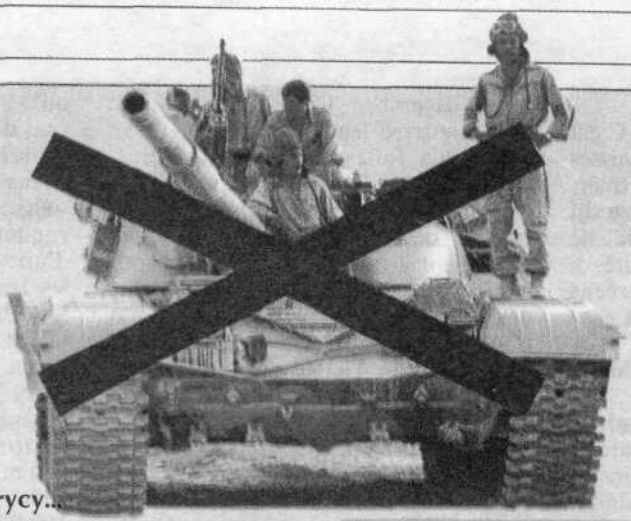

Tańczą dziś w dancingu Indra
Mr Shean ze swoją panią
On pół-diabła ona anioł
w równych frakach i cylindrach
Twardzi jak rzeźbione drzewo
Lżejsi niż łabędzie puchy
Z jakąś pasją obłąkańczą
Wykonują wspólne ruchy
Idą razem w prawo w lewo
Papierosy z ust wyjęli
Równocześnie się potknęli
Przewrócili, wstali, tańczą
Brzmi najnowszy fokstrot Lonach
Murzyn w śmiech a jazzband ryczy
W wiecznej zgodzie mąż i żona
Ekscentrycy, ekscentrycy...

Ekscentrycy...

— *Janda powinna uczyć się od was. Nikt tak dobrze nie wykonał dotychczas „Ekscentryków"* — perorował pochylony nad konsoletą realizator Polskiego Radia we Wrocławiu, w czasie zmontowywania pierwszej audycji o zespole, jaką nadano w lokalnym programie. Działo się to akurat w tym samym czasie, kiedy w nadodrzańskim grodzie trwał kolejny Przegląd Piosenki Autorskiej. U podstaw tej prestiżowej dla władz lokalnych imprezy, legło błędne w swej naturze przekonanie, że aktorzy obok gry posiedli też umiejętność śpiewu. Czasem lepiej to robią zwykli amatorzy.

Będzie to historia o tym jak młodzi i ambitni kolesie, w stosunkowo krótkim jak na polskie warunki czasie przeskoczyli z nieciekawej rzeczywistości w znaczący artystycznie byt, zaskakując starych wyjadaczy jak również młodych acz wypalonych pasjonatów. Ci pierwsi, pławiący się w błogim samozadowoleniu nawet nie spostrzegli jak youngi wysforowały się na czoło, ci drudzy, mniej obojętni na sukces innych obserwowali ich przebojowość z wściekłą zazdrością.

Wyznacznikiem godnego życia w tym konkretnym przypadku stało się aktualne hasło dnia — *robić swoje*. Nie narzekać na obiektywne trudności, represyjny reżim i układy lecz po prostu **czynić.** Myśl przemieniać w czyn. Wielu jest wśród nas niezrealizowanych artystów, którzy mimo iż działają od lat, wciąż nie mogą wyjść poza wąski krąg odbiorców. Dysponując nikłą zbiorowością wyznawców spalają się wewnętrznie w działaniach marginalnych w środowisku wzajemnej adoracji. Ich twórczość sprowadza się najczęściej do werbalnych deklaracji, potrząsań szabelką i ataków na otoczenie, które *prawdziwej sztuki nie chce zrozumieć*. Prowadzi w efekcie do przedwczesnego uwiądu....

Von dem Bach kończył budownictwo na Politechnice. O wiele bardziej niż projektowanie, pociągała go jednak muzyka. Rodzice posłali go do szkoły muzycznej. Chwała im za to. Ćwicząc fugi i koncerty Bacha, Beethovena czy Mozarta, wygrywając je na organach pod czujnym okiem nauczyciela rozmiłował się w muzyce. Miłość ta kwitła, mimo że średniej szkoły muzycznej nie udało mu się skończyć. W efekcie zamiast cierpliwie ślęczeć nad kreślarską dechą, wraz z dwoma innymi podobnymi sobie pasjonatami spędzał czas w baraku, mieszczącym się w posiadłości miejscowego badylarza. Grając. Studia kontynuował ale jakoś tak od niechcenia. Właściwie tylko po to by osiągnąć wiek uwalniający go od konieczności spełniania zaszczytnego obowiązku służby wojskowej. Kiedy to w końcu osiągnął rzucił studia w diabły prawie tuż przed magisterium i całkowicie poświęcił się muzyce.

Badylarska pakamera nijakim sposobem nie chciała spełniać roli sceny. Nic więc dziwnego, że Von dem Bach zapragnął wyrwać się z niej i zaistnieć na szerszej przestrzeni. Brakowało jednak w jego kapeli najważniejszego — wokalisty, frontmana — czyli duszy każdej szanującej się załogi.

Lalala dość wcześnie znalazł się w kręgach związanych z undergrundem i załapał odlot na muzykę. Pierwszą kapelą, której wokalnie przewodniczył był **Teatrzyk MD.** W czasie jego występów poznał Von dem Bacha.

Był wrzesień 198... r. W miejscowym Akademickim Centrum Kultury „Pałacyk" przygotowywano się właśnie do przyjęcia amerykańskiej formacji **The Swans.** Organizatorzy zwijali się jak w ukropie załatwiając wszystko na wczoraj i jak zwykle w ostatniej chwili. Jakby tego było mało z propozycjami nie do odrzucenia zjawiło się w biurze czterech ośmielonych tanim winem obszczymurów.

— *Zagramy jako suport przed Swansami* — oświadczył piegowaty w okularach.

— *Nie ma mowy* — odparł główny organizator — *Przede wszystkim Swansi się nie zgodzą.*

— *Zaraz zobaczymy!* — stwierdził okularnik i udał się wprost do lidera Amerykanów. Zdjął mu z uszu słuchawki i szwargocząc coś w jedynym znanym sobie języku włożył do odtwarzacza wyciągniętą z kieszeni kasetę. Osłupiały Jankes, wpierw nieco skonfundowany, zaskoczony ale i na koniec zaciekawiony oznajmił:

— *O.K.! You got it* — i śmiejąc się poklepał piegusa po ramieniu. Piegus ruszył do organizatora, który mimo to nadal kręcił nosem. Pertraktacje trwały z godzinę. W końcu stanęło na tym, że początkujący muzycy musieli z własnej kieszeni zapłacić dwie dychy nagłaśniaczowi. Oczywiście, że zapłacili. Nie marnuje się takich okazji.

Wieczorem miał miejsce elektryzujący publikę występ. Końcówki nerwowe receptorów umieszczonych w kończynach i korpusach uczestników koncertu przebiegał prąd podczas całego występu. Zwykłą w takich momentach, lekką zawiść zaczęło wypierać poczucie lokalnej dumy. Sukces występujących przed Swansami, **Creation Jungle** był tym bardziej spektakularny, że grający w tym składzie chłopcy mieli za sobą jedną, jedyną dosłownie próbę. Było to bowiem nazajutrz po spotkaniu Von dem Bacha z Lalalą.

Po dwóch czy trzech miesiącach uległa zmianie nazwa zespołu.

LOS LOVEROS.

Zespół w krótkim czasie stał się pupilkiem wrocławskiej publiczności, łaknącej od lat czegoś co byłoby bliskie muzycznym fascynacjom młodzieży, chcącej się z czymś utożsamiać i bić brawa. Z koncertu na koncert przychodziło ich słuchać coraz więcej ludzi.

Po którymś z kolei występie z lekka wlany Von dem Bach zwrócił się do Lalali:

— *Słuchaj! Kurwa! Nie możesz już dłużej markować tego anglojęzycznego bełkotu. Musisz w końcu mieć jakieś teksty. Tu masz dwa, które ci wyszperałem. Jeden jest Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, a drugi Witkacego. Ponadto Darek ma dla ciebie jeszcze dwa swoje wiersze. Bierz się do roboty.*

Darek to nawiedzony student architektury. Jeździ białym jak śnieg rowerem i tochę pije... z muzykami. Napisał interesujący utwór, wykonywany aktualnie przez Loverosów, a zatytułowany „You Are Layer". Ale gdzie mu tam do Witkacego.

Jamburowy statek, jamburowe sycko
ino nie z jamburu mojej Jagny cycki
Jamburowe dziwki, kiej byście tu były
To byście z jamburu huicki lubiły
Zamknijcie w krystały wase krwawe pały
Wariackie głosiki wase złe dusycki...

Przez te dwa lata, które upłynęły od debiutanckiego występu, Los Loveros przeżyli różne sytuacje. Dokładnie rok później zaprezentowali się podczas Festiwalu **Poza Kontrolą** w warszawskim Remoncie. Wzbudzili sensację. Jednak ciągła walka o uznanie trwa nadal. Antagonistami są w niej starzy miejscowi wyjadacze. Należą do nich prezes Wrocławskiego Oddziału PSJ-tu **Andrzej** „Szczupły" **Pluszcz** wraz ze zwanym „Słoniem" pokaźnych gabarytów, kiedyś bramkarzem i kierownik klubu „Rura" obecnie.

Los Loveros coś kiedyś narozrabiali i dostali ostrzeżenie. Von dem Bach w rewanżu powiedział, że im tę budę spali w zamian za co przeciwna strona orzekła, że *jak ten piegowaty w okularach nie przestanie rozrabiać to mu może ktoś w ciemnej bramie oprawki mocniej w łapie zamontować*. Taki to już jest popędliwy, skory do werbalnych utarczek szczep. W przedsionku „Rury" pojawił się nawet uczyniony sprayem napis „Los Loveros are dead". W odpowiedzi chłopaki stanowczo bojkotują te placówkę oraz odpowiedzialnych za jej działalność kulturalną szefów.

Członkowie Los Loveros utracili w ten sposób możliwość artystycznego wypowiadania się. Na jednym z ostatnich samodzielnie wykonanych plakatów, anonsujących kolejny występ kapeli, obok nazwy pojawiło się słówko — eversores. W przekładzie z języka łacińskiego oznacza ono niepokorność, odszczepieństwo, odrzucenie, zbuntowanie. Określeniem tym opatrywano w średniowiecznych bullach nazwy licznych wówczas sekt religijnych. Eversores cathari, eversores ariani i współcześnie eversores Los Loveros.

Z braku perspektyw zespół zamierza emigrować do Warszawy dla nagrania płyty i zaczerpnięcia świeżego oddechu. Szkoda. Będzie to kolejne zubożenie lokalnego środowiska.

MARCIN ROSIŃSKI

/I CAN'T GET NO/ SATISFACTION

Ta — ta — tarara — tarararara...

Dziesięć nutek na trzech wysokościach. Małe jest piękne.

Niewyobrażalne są drogi, którymi chadza natchnienie. Oglądałem kiedyś film z występu Milesa Davisa z sześćdziesiątego któregoś roku. Bardzo długie ujęcie ukazujące twarz w zbliżeniu. Skupione oczy, lekko marszczące się czoło: parawan, za którym dzieje się to najważniejsze — wsłuchiwanie się w głos Świętej Istoty i przekładanie go na Sztukę. Jak, czym? — tego nie wie nikt poza Świętą Istotą. A solo Davisa w tamtym utworze było naprawdę jak rozmowa z Nim.

Mniej więcej ten sam czas, jakiś Holiday Inn czy inny Hilton — w Chicago? W Denver? W Los Angeles? Nieważne. Ważne, że któregoś wieczoru Keith Richards siedząc na łóżku zagrał właśnie TO.

Keith: *Nie podobał mi się ten riff, nawet pokłóciliśmy się wtedy z Mickiem, który chciał z tego zrobić singiel (i dopiął swego). Ja uważałem, że to taka beznadziejna rąbanka. Teraz za to wiem, że skopiowałem ten motyw w różnych wariantach w wielu późniejszych kompozycjach.*

Mick Jagger: *Moim zdaniem Keith nie wsłuchał się w to nawet, sądził, że to kolejny bzdet-zapchajdziura zrobiony na kolanie. Nie miał dystansu.*

Tak narodził się numer, który dzięki obezwładniającej prostocie muzyki Richardsa (podpisującego się wówczas Richard) opanował totalnie radio, a szczególnie radio samochodowe, zaś słowa Jaggera uczyniły z niego najważniejszy ówczesny anty-hymn rozczarowania i frustracji, przygotowujący kawałek gruntu pod bunt, jaki rozgorzał dwa lata później. I naprawdę nie ma chyba takiego znaczenia, że dziś tekst ten może wydawać się trochę głupawy. Nie pisał go filozof, ale dwudziestojednoletni rockandrollowiec.

Nieśmiertelny riff „Satisfaction" zagrany był na sfuzzowanej gitarze, ale tak naprawdę Keith słyszał tam dęciaki: *Otis Redding trafił w dychę — to miało być na dętych, tyle że myśmy nie mogli tego zrobić... Zawsze dużo słuchałem Motown i Stax, Mick też.*

Naokoło utworu narosło swego czasu sporo głupich nieporozumień, a to ze względu na tekst, w którym dopatrywano się ukrytych aluzji do menstruacji, antykoncepcji i marijuany (tygodnik TIME z kwietnia 1967). Były nawet pewne problemy z emisją na falach stojącej na straży dobrego wychowania rozgłośni BBC. Ale za Oceanem singiel, w dwa tygodnie po wejściu na listę Billboard Hot 100 Singles, wylądował na miejscu czwartym, wkrótce przechodząc do klasyki nie tylko rocka, ale także rhythm'n'bluesa i soulu. Do dziś jest chyba najsłynniejszym dziełem szajki Błyszczących Bliźniąt, czyli Jaggera i Richardsa.

Panie i Panowie: gitara basowa — Bill Wyman, perkusja — Charlie Watts, gitara prowadząca — Keith Richard, gitara akustyczna — Brian Jones, wokal i tamburyn — Mick Jagger. Jak przed dwudziestu czterema laty —

The Rolling Stones i „/I Can't Get No/ Satisfaction".

FILIP ŁOBODZIŃSKI

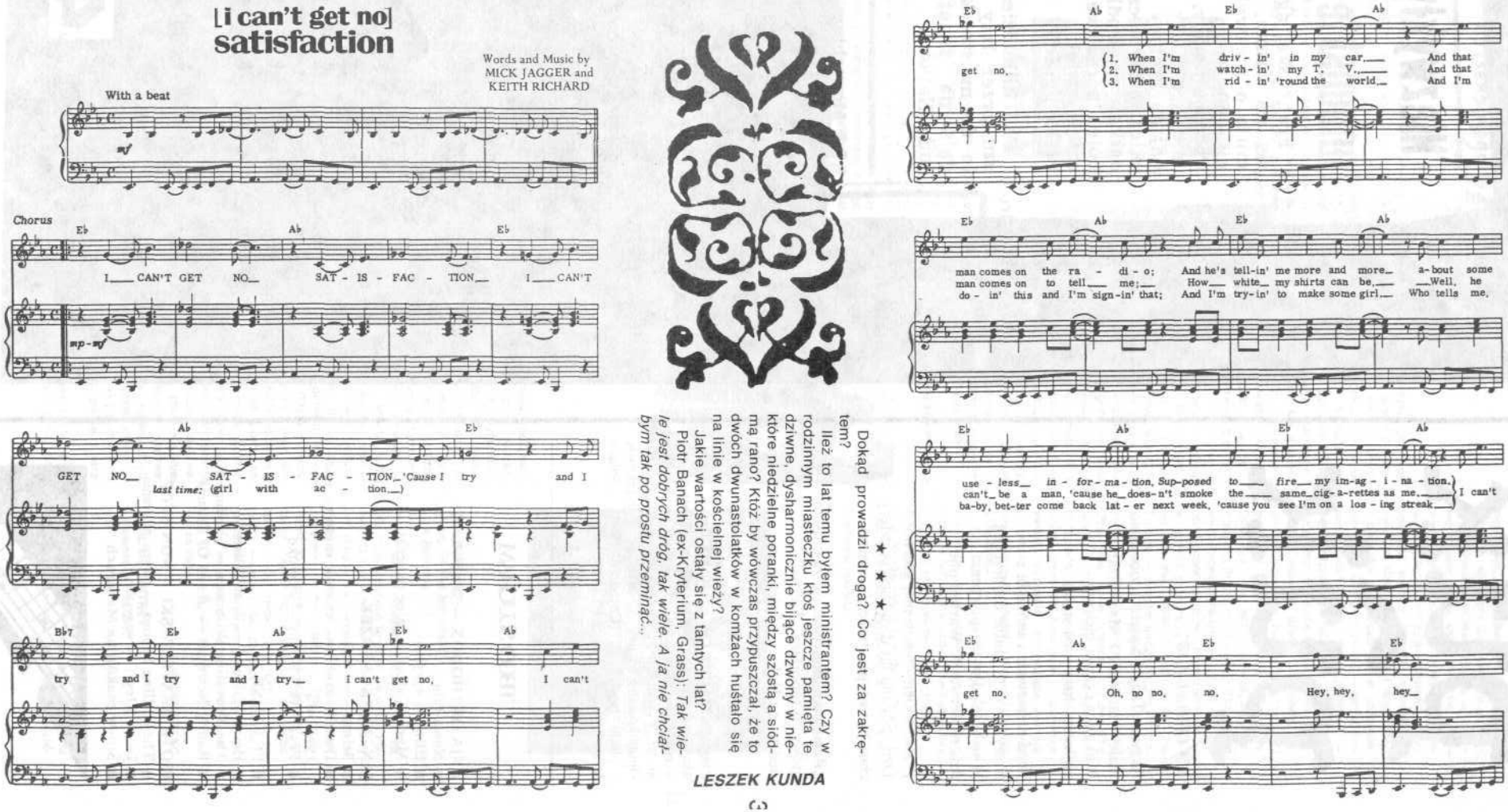

Dokąd prowadzi droga? Co jest za zakrętem?

* * *

Ileż to lat temu byłem ministrantem? Czy w rodzinnym miasteczku ktoś jeszcze pamięta te dziwne, dysharmonicznie bijące dzwony w niemą rano? Któż by wówczas przypuszczał, że to które niedzielne poranki, między szóstą a siódmą dwóch dwunastolatków w komżach huśtało się na linie w kościelnej wieży?

Jakie wartości ostały się z tamtych lat?

Piotr Banach (ex-Kryterium, Grass): *Tak wiele jest dobrych dróg, tak wiele. A ja nie chciałbym tak po prostu przeminąć...*

LESZEK KUNDA

pûk pûk

MATERIAL GIRL

Krzyż z Trójcą Świętą zdobi ucho
małej Madonny z Manhattanu.
Makijaż i czarna bielizna
najlepiej służą racji stanu.

Kiedyś śpiewała i tańczyła
w szykownym klubie dla lesbijek.
Włoski seledyn jej spojrzenia
dziś nawet Andy Warhol pije.

Przed rokiem było o niej głucho.
Dziś, gdy ma lat dwadzieścia cztery
chce być po prostu sobie wierna.

„Rzecz najważniejsza: iść za ciosem" —
mówi do reportera „Sterna"
siedząc na łóżku z papierosem.

Zbigniew MACHEJ — ur. 1958, Cieszyn. Absolwent filologii polskiej oraz religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jego wiersze drukowano w „Tygodniku Powszechnym" i „Studencie". Opublikowane tomiki: „Smakosze, kochankowie i płatni mordercy" (Czytelnik 1984), „Śpiąca Muza" (Oficyna Literacka 1988).

TEGO SŁUCHAM

ANJA ORTHODOX —Closterkeller
- Nowa fala
- Blitz — wszystko
- Maria Callas — różne piosenki

JAN „KYKS" SKRZEK
- Sting — wszystko
- Dobrze zrobiona czarna muzyka rozrywkowa
- Fryderyk Chopin — wszystko

JEFF LYNNE
- Brian Wilson — „Brian Wilson"
- The Traveling Wilburys — „Volume 1"
- Randy Newman — „Land Of Dreams"

PIOTR BRATKOWSKI — NON STOP
- The Rolling Stones — dawne nagrania
- Jacek Kleyff — wszystko
- Śpiew ptaków na Mazurach

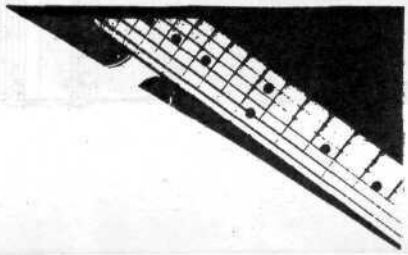

największych akcjach

Niezwykły wyczyn rumuńskiej nauczycielki

Francuska agencja AFP, powołując się na pismo jugosłowiańskie, informuje o niezwykłej ucieczce z Rumunii 30-letniej nauczycielki, **Camili Popescu-Soriny.** Będąc w dziewiątym miesiącu ciąży przepłynęła nocą Dunaj na granicy rumuńsko-jugosłowiańskiej, ubezpieczając się nadmuchaną dętką. W środku rzeki chwyciły ją bóle porodowe, które po pewnym czasie ustały. Podczas przepływania rzeki opuściły ją wody płodowe.

Po kilkudziesięciogodzinnym marszu przez lasy i pola, kobieta dotarła do miasteczka Kladovo, gdzie wydała na świat córkę, której dała imię Natasza.

jj

W Monachium

płyty

FRANK ZAPPA
„Broadway The Hard Way"
Zappa Records
★ ★ ★ ★ ★

Jeśli napiszę, iż „Broadway..." to jedna z najlepszych płyt Zappy w ogóle, to będzie to największy komplement w stosunku do tego krążka, gdyż przecież Frank nagrał już tak wiele doskonałych albumów...

Tym razem dostaliśmy od niego przeszło siedemdziesięciominutowy zapis wyjątków ubiegłorocznej trasy koncertowej. Wprawdzie „Broadwayu" opisywać się nie powinno, gdyż jest tu tyle wyjątkowo zaskakujących pomysłów, że szkoda czytelników — słuchaczy pozbawiać przyjemności ich odkrywania, ale nie mogę się powstrzymać, by o części z owych pomysłów nie wspomnieć choćby pokrótce. Oto piosenki śpiewane głównie przez Ike'a Willisa („Elvis Has Just Left The Building" oraz „Any Kind Of Pain" z bardzo ładnym solem Franka). Oto quasi kabaret (np. „Planer Of The Baritone Women"). Oto blues (np. „What Kind Of Girl" z *cytatem ze... „Strawberry Fields Forever"*). Oto pobrzmiewa country („Rhymin' Man"). Oto swingowanie („Stolen Moments" i... „Murder By Numbers" odśpiewane przez nagle pojawiającego się na scenie... Stinga!). A „Promiscuons" to po prostu RAP! Całość tworzy jakby rockowy kabaret, w którym bardzo ważną rolę odgrywa tekst. Tekst jest oczywiście doskonale połączony z podkreślającą go i ozdabiającą muzyką.

Już nieraz zdarzało się, że płyty koncertowe Zappy w większości zawierały kompozycje wcześniej nieopublikowane. Tak jest i tu, bo przedtem znaliśmy tylko „Outside Now", „Hot — Plate Heaven..." i „Tell Me You Love Me", obecne pod zmienionym tytułem i z dowcipnym tekstem o niejakim Michaelu Jacksonie.

O Franku Zappie i jego szalonych pomysłach na „Broadwayu" można jeszcze długo, ale szkoda czasu, gdyż najlepiej posłuchać samemu.

Solennie obiecuję, że nikt się nie będzie nudzić.

JAKUB TOBRUCKI

TOM PETTY
„Full Moon Fever"
MCA

★ ★ ★ 4/4

Stwórca nie wyznaczył Petty'emu na tej planecie roli odkrywcy. Najmłodszy z rodziny Wilburych pozostanie chyba na zawsze spadkobiercą — jednym z tysięcy, dodajmy — dzieła rozpoczętego ćwierć wieku temu przez Byrdsów i Dylana, czyli stylu określonego niegdyś przez mojego kumpla mianem „Pięćgitarijedziemy". I z tego zadania wywiązuje się doskonale, sypiąc prostymi piosenkami, spośród których bankowo można wybrać parę czystych brylancików (zresztą jak kto woli, ja tam jestem liberalny).

Full Moon Fever to, o ile mi wiadomo, pierwszy wyskok Petty'ego solo, choć też niezupełnie, skoro chyba większość jego macierzystych Heartbreakers udziela się tu wypuszczając różne dźwięki. Ale jest coś, co płytę wyróżnia spośród dotychczasowych

dzieł Małego Blondasa: luz. Prawda, że TiPi opłacił to ukomercyjnieniem — ale miał zresztą taki zamiar. Jedno tylko mnie wkurza i jedno rozczarowuje. Wkurza homogeniczny, tekstylny sos, w którym kąpie to wszystko producencki stół Jeffa Lynne'a, gitary brzmią zbyt sterylnie i „kleiście", skutkiem czego mam czasem wrażenie, jakbym słuchał drugiego tomu opowieści Traveling Wilburys albo i trzeciego, jeśli liczyć *Cloud Nine* Harrisona. Rozczarowuje zaś pewna monotonia gatunkowa płyty: w zasadzie wszystko oprócz niemal akustycznej kołysanki „Alright For Now" brzmi podobnie. Petty zdaje się nie wychodzić poza koło kwintowe; tylko raz, w byrdsowskim „Feel A Whole Lot Better" (fajnie, że jest, ale czemu tak dokładnie odwzorowana?!) decyduje się na śpiew w harmonii.

A tak w ogóle świetna muzyczka do samochodu. Sprawdziłem. Skosiłem przy tym pięć drzew i przyprawiłem krowę sąsiada o szybki stolec, podrygując *na wybojach w bodiddleyowski* rytm „A Mind With A Heart Of Its Own". Prawie cztery gwiazdki, pięć drzew, pięć gitar i jedziemy.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

VAN MORRISON
„Avalon Sunset"
Polydor

★ ★

Van Morrison, przed laty lider grupy *Them*, od dawna działający jako solista, to jedna z największych indywidualności w historii muzyki rockowej; *wokalista zachwycający głęboko emocjonalnym*, swobodnym, bardzo oryginalnym sposobem interpretacji, kompozytor wyrafinowanych, kunsztownie aranżowanych utworów, często o folklorystycznym (wpływ muzyki irlandzkiej) lub jazzowym zabarwieniu. Ma w swym dorobku wiele świetnych płyt, ma też kilka słabszych. Najnowszą wstawić trzeba niestety do drugiej przegródki. Nie brak na niej co prawda pięknych piosenek inspirowanych — jak to u Morrisona bywa — przeżyciami religijnymi, np. „Contacting My Angel", „When Will I Ever Learn To Live In God" czy zaśpiewana w duecie z Cliffem Richardem „Whenever God Shines His Light On Me". Jest wspaniała ballada miłosna „Daring Night", która na pewno podoba się Bossowi, cichemu wielbicielowi i naśladowcy mistrza z Belfastu. Są też jednak utwory takie jak stereotypowy swingujący blues „I'd Love To Write Another Song", który wystarczyłby za recenzję albumu. *Chciałbym napisać inną piosenkę niż ta* — przyznaje Morrison w tekście — *ale jakoś nie wychodzi*. Cóż, bywa i tak.

WIESŁAW WEISS

TIN MACHINE
„Tin Machine"
EMI

★ ★ ★

Pamiętamy go jako melancholijnego barda z przedmieścia Londynu, ekscentrycznego kosmitę o twarzy, sylwetce i płynnych ruchach hermafrodyty, filadelfijskiego dżentelmana, zadumanego nad losami świata więźnia miasta-twierdzy, pierrota o bladym obliczu, autoironicznego idola doby dyskotek. Znamy kilka spośród jego wcieleń filmowych: zagubionego wśród ludzi przybysza z lepszego świata, demonicznego władcy baśniowej krainy, krwiożerczego wampira, heroicznego oficera brytyjskiego na dalekim froncie japońskim czy wreszcie Piłata z Pontu. Często wracamy do nagrań z jego długiej, przeszło dwudziestoletniej kariery estradowej. Są wśród nich sentymentalne wersje starych przebojów, poetyckie songi francuskich mistrzów, jazzujące ballady, nastrojowe kompozycje na instrumenty elektroniczne, wykonane z wigorem utwory rhythm'n'bluesowe, ekspresyjne stylizacje soulowe, a także wściekłe rockowe hymny. Płytą „Tin Machine" David Bowie wraca po kilku latach flirtu z muzyką pop i disco do rocka. Ogląda się za siebie. I zarazem sięga w przeszłość.

Stworzył świetną grupę, w której wyróżnia się Reeves Gabrels, gitarzysta o mięsistym, wrzaskliwym, bardzo nowoczesnym stylu gry. Ciekawe, że uczniowie Jimiego Hendrixa brzmią dziś nowocześniej niż ci, którzy muzykę rockową odkryli po roku 1970 i nie mieli czasu — a może raczej przekonania — by spojrzeć wstecz. Zespół otrzymał nazwę *Tin Machine*. *Taki tytuł nosi jeden* z utworów umieszczonych w zestawie. Jak przed laty dwudziestu — tamta piosenka nosiła tytuł „Space Oddity" — Bowie śpiewa o ucieczce blaszanym pojazdem. Ucieczce ze świata alkoholowych omamów, brudu, chamstwa, pogoni za szmalem, nienawiści, rasizmu i wojennej psychozy. Naszego świata. Ostrzega — w innym utworze, zatytułowanym „Prisoner Of Love" i będącym wyznaniem miłosnym — by nie wierzyć obietnicom głupców. Kompromituje — *w tekście piosenki „Crack City"*, opartej na riffie „Wild Thing" grupy The Troggs — bogów naszych czasów: zamroczonych alkoholem i narkotykami, sprzedajnych i cynicznych, tępych idoli. Dziwi się — w utworze „Under The God" — Bogu, który z takim spokojem przygląda się gwałtom coraz liczniejszych młodych bandytów. I puentuje swoje wyznania porywającą wersją „Working Class Hero", sarkastycznej rewolucyjnej pieśni zamordowanego przyjaciela.

Cóż, „Tin Machine" nie jest może rockowym arcydziełem. Na pewno jednak — jak każda płyta Bowiego, który lepiej niż inni orientuje się w trendach i kierunkach obowiązujących w świecie muzyki rozrywkowej w danej chwili — jest sygnałem. Zapowiedzią. Tak, proszę Państwa, zbliża się — znowu — rockowa rewolta.

WIESŁAW WEISS

THE LURKERS
„King Of The Mountain"
Link Records
★

Już sama okładka powoduje, że ma się chęć wyrzucić tę płytę za okno. Potwierdza to również materiał zawarty na drugim (a pierwszym wydanym w Anglii), nagranym po kilkunastoletniej przerwie, mini-longpłayu. THE LURKERS to kolejna, punkowa kapela przełomu lat 70/80 próbująca odzyskać swoją popularność. Ale jak?!?! To, co grają — nie dość, że jest wsteczne i prymitywne — to nie dorównuje nawet temu, co znajduje się na „Fulham Fallut" czy „Gods Lonely Men". A więc... fru za okno!!!

TOMASZ RYŁKO

PAUL McCARTNEY
„Flowers In The Dirt"
EMI
★

Johnny Rotten śpiewał przed laty: *Jesteśmy kwiatami w twoim kuble na śmieci*. Czy można się było spodzie-

⊙płyty⊙

wać, że Paul McCartney, przedstawiciel muzycznego establishmentu, nagra kiedyś album zatytułowany „Kwiaty w śmietniku"? Tak się właśnie stało. Na tytule skojarzenia z erą The Sex Pistols kończą się jednak, mimo że współtwórcą kilku piosenek zawartych na płycie,

także „The Day Is Done", z której określenie „Flowers In The Dirt" pochodzi, jest Elvis Costello, przez niektórych wpisywany — oczywiście bez sensu — do punkowego kręgu. McCartney pozostaje sobą — twórcą błahych, sentymentalnych piosenek, zazwyczaj sympatycznych, często jednak tandetnych, w złym guście. Chociaż niektóre utwory z albumu przypominają przeboje The Beatles (np. „Put It There", „My Brave Face", zaśpiewany w duecie z Costello „You Want Her Too"), żaden nie ma beatlesowskiej mocy. Mimo że w nagraniach wzięło udział wielu znanych muzyków i producentów, choćby David Gilmour, gitarzysta Pink Floyd, czy Trever Horn, w aranżacjach czuje się silne ciążenie ku stereotypom muzyki pop. Na okładce „Flowers In The Dirt" znalazła się dedykacja dla wszystkich mieszkańców planety Ziemia, którzy nie ustają w trudach, by ją ocalić. Jednakże płyta jest raczej prezentem dla tych, którzy nad wielkie sprawy świata przedkładają małe dramaty egzystencji peryferyjnej cichej i szarej.

WIESŁAW WEISS

THE RESORT
„1989"
Link Records
★ ★

Dawniej LAST RESORT — to była interesująca kapela. Teraz Roi Pearce zapragnął wskrzesić ją, tworząc RESORT. Londyńska firma Link bardzo szybko wydała zespołowi płytę zawierającą: przeróbki własnych starych numerów i „Waiting For A Friden" 4-SKINS oraz pięć nowych „hitów". Wszystko to kwalifikuje się do określenia „flaki z olejem" (rzepakowym w dodatku). Jeśli ktokolwiek ogłosi konkurs na najnudniejszą płytę roku 1989 — to zostanie nią na pewno TA.

TOMASZ RYŁKO

NON IRON
„Innym niepotrzebni"
Veriton
★ ★

— A komu w ogóle potrzebni?

— Między hard rockiem a metalem, lecz bliżej hard rocka, choć z elementami pop metalu.

— Pomysły zużyte, przez innych już przetrawione.

— Brak artystycznej inteligencji przy wykorzystaniu formuły dość długich utworów — przecież nie wyróżniają się ani melodią, ani wykonaniem, ani tym

bardziej aranżacją (wszystko ledwie poprawne, z lekkim wskazaniem na gitarzystów), a ów rockowy ogień wzniecony jakby sztucznie, więc czym zespół chce przyciągnąć uwagę?

— W tekstach „rockowy banał" sąsiaduje z naiwnym poetyzowaniem.

— Przypominam o starej prawdzie, iż żeby nagrać album choćby przyzwoity, to trzeba mieć c o ś do przekazania.

— MaMa, Fatum, Korba, Non Iron — po co nam taki drewniany, telewizyjny rock?

JAN SKARADZIŃSKI

LUDWIG van BEETHOVEN
„V Symfonia c-moll Op. 67"
Państwowa Orkiestra Filharmonii Łódzkiej pod dyrekcją Henryka Czyża
Polskie Nagrania
★ ★ ★ ★ ★

Uwaga Małolaty! Jest rajcowna muzyka!

Biały Album Beatlesów znacie? Made In Japan Purpli i Dark Side Floydów też? Najwyższy czas poznać Piątą Symfonię Beethovena.

Pewnie wydaje się Wam normalne, że Królowa Elżbieta przytupywała nogą na koncercie czwórki z Liverpoolu. I to ponad dwadzieścia lat temu. Zgoda. Ale mi wydaje się nienormalne, że człowiek słuchający dziesiątków płyt rocznie o Piątej Symfonii Beethovena może powiedzieć tylko „nuda" albo „syf" (zależnie od nie tylko muzycznej kultury).

I nie chodzi nawet o to, że Klasyk, że Doskonałość Formy Muzycznej itp. Piąta Symfonia to po prostu Bogactwo Pomysłów.

Liryczna ballada, jaką jest II część utworu — Andante — kasuje prawie wszystkie „wolne kawałki", jakie powstały przez następne 181 lat. Część III — Scherzo-allegro — w której trwa walka między obsesyjnie ponurym kontrabasowym motywem, a furią całej orkiestry może być pod względem siły ekspresji porównywana tylko z Child In Time Purpli. Zdaję sobie sprawę, że tym zdaniem naraziłem się i fanom Deep Purple, i miłośnikom Beethovena. Ale dla mnie tak właśnie jest.

Właśnie Siła Ekspresji. Przepraszam bardzo, ale oburzone głosy oszukanego pokolenia naprawdę brzmią jak żałosne pokwikiwania przy dramacie Artysty, być może największego muzyka wszechczasów, walczącego z postępującą głuchotą.

Właśnie Siła Ekspresji. Część pierwsza — słynne Allegro — to dla wielu tylko „pa-pa-pa-pam, pa-pa-pa-pam". Ale to dopiero początek Dzieła. Dalej następuje to, co Hektor Berlioz porównywał z burzą, Robert Schumann z przerażającymi zjawiskami przyrody. A co my dzisiaj moglibyśmy skojarzyć z wybuchami w Wietnamie, Afganistanie czy nad Hiroszimą. Potężne tutti występujące kilkakrotnie w pierwszej części (Tutti to zaczerpnięte z języka włoskiego określenie oznaczające „wszyscy". Rozumiecie — wszyscy! Nie paru facetów z gitarami, ale cała kilkudziesięcioosobowa orkiestra.). Tak nie brzmią nawet piekielne dzwony (Hells Bells) AC/DC.

Właśnie Siła Ekspresji.

No, chyba że Wam chodzi o riffy. Bo rzeczywiście gitar w Piątej nie ma. Jeżeli Wam tylko o to chodzi w muzyce, to lepiej nie słuchajcie tej płyty.

Ode mnie piątka. Dla Symfonii.

WOJTEK STASZEWSKI

JAYWALKER
„Free Energy Through Unconnected Coils Like Tesla And Reich Generators"
Aural Exciter Records
★ ★ ★ ★

Czyżby kolejna rewelacja na miarę THE YOUNG GODS? Chyba nie, chociaż muzyka szwajcarskiego tria JAYWALKER należy do interesujących. Intrygująca, nieschematyczna aranżacja, szarpiąca nerwy skrzekliwa gitara i sucho tętniąca perkusja — to te elementy, które składają się na niepospolite brzmienie tria z Zürichu. Szkoda, że jest tak dużo kompozycji instrumentalnych, bo głos Dietmara Gallhammera (często podobny do głosu Dicka z CULTURE SHOCK) dodaje jeszcze więcej czadu muzyce JAYWALKERA.

TOMASZ RYŁKO

DEACON BLUE
„When The World Knows Your Name"
CBS United Kingdom
★ ★ ★ 1/1

Przyjemnie jest sobie posłuchać prawdziwego kontrabasu. Przyjemnie jest usłyszeć organy elektryczne. Szkoci z Deacon Blue niczego mi nie odkryli, ale nie odczuwam zawodu. Nie interesuje mnie, czy to debiut, czy siedemnasta pozycja w katalogu. Zaczyna się jak trzeba (szybko), kończy jak trzeba (melodyjnie i wolniej), a w międzyczasie jest głównie luźno, gitarowo i z lekka przebojowo (przyłapałem się na gibaństwie i nuceniu „Fergus Sings The Blues" i „Real Gone Day") i trochę za długo.

A swoją drogą — co ci U2 nawyprawiali. Taki przychówek...

FILIP ŁOBODZIŃSKI

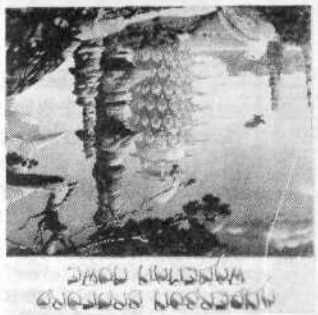

ANDERSON BRUFORD WAKEMAN HOWE
„Anderson Bruford Wakeman Howe"
Arista
★ ★ ★ 3/4

Dużo wysiłku władowała supergrupa w tę płytę — pomysły sypią się jak asy z rękawa szulera. „ABWH" to jakby lakoniczność „Tormato" rozpuszczona w formule „Close" — „Tales", podlana sosem Yes lat ostatnich i przybrana zwrotami uważnymi przez Andersona & Papathanassiou. Anderson oczywiście nadal uduchowiony (te cudy życia, statki światła, tajemnice dotyku, chorągwie na księżycu, porządki wszechświata; rzecz jasna także wzniosła miłość) — ciekawe, co by się z nim stało i o czym by śpiewał, gdyby jakiś sadysta przytopił go w socjalistycznym świecie kolejek po pasztetową i pensji starczającej do piętnastego (tę sekwencję uzupełnimy zaznaczeniem utworu „Quartet", w którego tekst drugiej części wpleciono tytuły pięciu Yesowskich Klasyków). Wakeman w wyśmienitej formie — powinien zrozumieć, że w latach 80. błądził i że wszyscy wiele stracili na jego separacji z Jonem. Ci dwaj to zdecydowani wodzireje. Howe tym razem się nie narzuca (a drzewiej odwrotnie bywało), co — niczym kij — ma dwa końce. Bruford, ostatni w Anderson Bruford Wakeman Howe, mocno zawierzył elektronice i nie zagrał na miarę swoich bezkresnych możliwości.

Ale „ABWH" nie skłania do zgięcia kończyn dolnych i już po czwartym przesłuchaniu za bardzo nie chce się wracać do całości. Dlaczego? Za dużo jakoś limitującej potęgę i prawdę elektroniki, którą w takiej dawce zaprzęgnięto chyba po to, by starej treści nadać rys nowoczesności. Całość robi się zbyt „nachalna". Z tym związane jest zapotrzebowanie na przestrzeń oraz akustykę, zresztą nie tylko w warstwie rytmicznej (poza tym Howe — no i Wakeman — mogliby również wydłużyć swe solówki), a brak także soczystego, agresywnego, dudniącego basu Squire'a.

Nie przypuszczam, by paczka Chrisa dała coś więcej.

JAN SKARADZIŃSKI

Jurkowi Gachowi i Andrzejowi Szarkowi, właścicielom sklepu płytowego Combo (Warszawa, Słupecka 8), dziękujemy za pomoc w uzyskaniu kilku płyt do zrecenzowania. NS

XVIII PLEBISCYT NON STOPU

NAJPOPULARNIEJSI

W

1989

ROKU

Już osiemnasty raz zapraszamy do wspólnej zabawy. Wypełnij ten kupon lub podaj swoje propozycje — po jednej w każdej z kategorii — na kartce pocztowej. Wszyscy uczestnicy plebiscytu wezmą udział w losowaniu upominków muzycznych. Ostateczny, potwierdzony datą stempla pocztowego termin nadsyłania Waszych typów: **24 grudnia br.** Rezultaty plebiscytu przedstawimy w lutym 1990 r. Nasz adres: **NON STOP — ul. Hibnera 11, 00-018 Warszawa.**

✂ ----------

	POLSKA	ŚWIAT
1. GRUPA	.....	.....
2. WOKALISTKA	.....	.....
3. WOKALISTA	.....	.....
4. INSTRUMENTALISTA	.....	.....
5. KOMPOZYTOR	.....	.....
6. AUTOR TEKSTÓW	.....	●★●★●★●★●★●★●
7. POSTAĆ	.....	.....
8. PRZEBÓJ	.....	.....
9. ALBUM	.....	.....
10. WYDARZENIE	.....	.....
11. ROZCZAROWANIE	.....	.....
12. TELEDYSK	.....	.....
13. NADZIEJA	.....	.....

Imię i nazwisko .....

Adres .....

.....

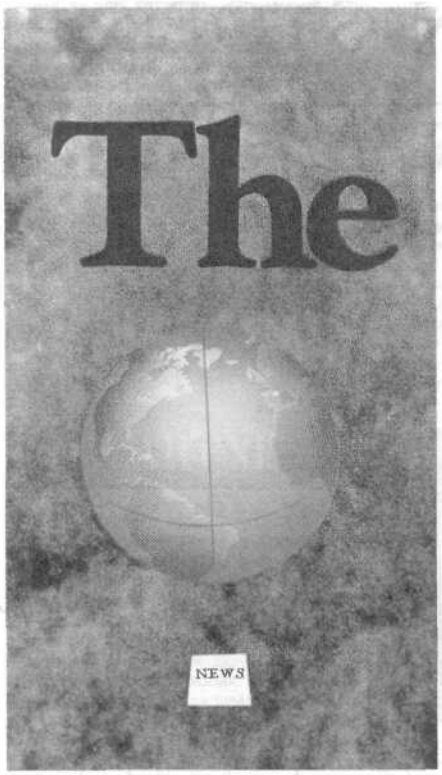

NS PROPONUJE LP's — akt II

VIKING: Man Of Straw (Roadrunner) **ICON: Right Between The Eyes** (Megaforce—Atlantic) **BLOOD FEAST: The Last Remains** (New Renaissance) **POWERMAD: Powermad** (Reprise) **FATES WARNING: Perfect Symmetry** (Roadrunner) **IRON CHRIST: Getting The Most Out Of Your Extinction** (New Renaissance) **STARSHIP: Love Among The Canibals** (RCA) **THE HANGMEN: The Hangmen** (Capitol) **MONKS OF DOOM: The Cosmodemonic Telegraph Company** (Pitch-A-Tent — Rough Trade) **YELLOWJACKETS: The Spin** (MAC) **BEASTIE BOYS: Paul's Boutique** (Capitol) **BAUHAUS: Swing The Heartache** (Beggar's Banquet) **THE POGUES: Peace & Love** (Island) **MARTIN L. GORE: Counterfeit** (Sire) **HOODOO GURUS: Magnum Cum Louder** (RCA) **EDDIE MURPHY: So Happy** (Columbia) **POP WILL EAT ITSELF: This Is The Day... This Is The Hour... This Is This** (RCA) **VARIOUS** (Clapton, Harrison, Sanborn, Beach Boys...): **Leathal Weapon 2 — Original Soundtrack** (Warner Bros.) **RED HOT CHILI PEPPERS: Mother's Milk** (EMI) i tak dalej...

EENEAAS

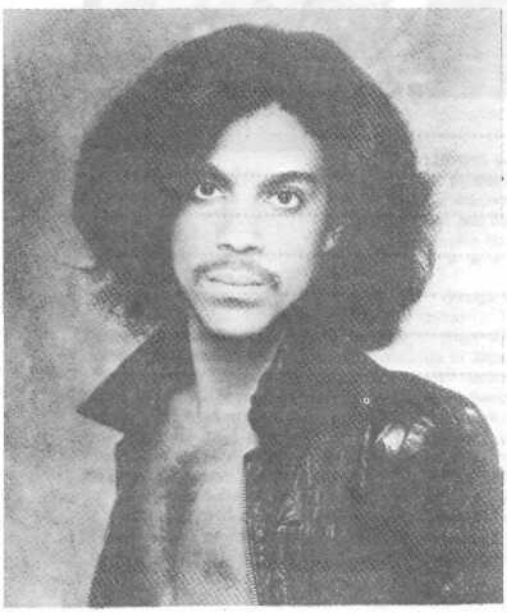

PRINCE dawno temu

NJUS PATENT

Jedyną piosenką, której żałuje, że sam nie napisał, jest „Miss You" Rolling Stonesów. Swoje koncerty zawsze poprzedza puszczaną z taśmy muzyką Andreasa Vollenweidera. Przed wydaniem każdej płyty najpierw idzie i puszcza ją „na mieście", żeby wybadać nastroje. Odrzucił ofertę Michaela Jacksona, by zaśpiewać z nim „Bad" w duecie. Andy Warhol napisał w swoim dzienniku, że jego koncert był najwspanialszym, jaki w życiu widział. Miles Davis często słucha w domu jego nagrań. On sam jest autorem wszystkich dźwięków na swych pierwszych pięciu albumach. Podobno nagrał z górą 300 piosenek, które dotąd nie ujrzały „ucha publicznego". Był pierwszym czarnym artystą puszczonym w MTV. Wszystkie swoje płyty dedykuje Bogu. Pierwszą melodią, jakiej nauczył się grać na fortepianie, był temat filmu „Batman" (tego dawnego!). Nie znosi tuby (chodzi o instrument). Nie zna nut. **Prince.** A cały ten groch z kapustą zaczerpnięty z opublikowanego niedawno zbioru ciekawostek na jego temat w związku z prognozą, że *Batman — Original Motion Picture Soundtrack* stanie się niebawem bestsellerem wszechczasów w dziedzinie muzyki filmowej na płytach. Praca nad dwoma następnymi filmami oraz nad nowym albumem już startnęła. Niejaki **David Byrne** też skończył labę, majstruje coś razem z producentem Stevie'm Lillywhite'em.

Zaczął także poważnie próby ze swoją Voicestrą **Bobby McFerrin.** Namówiono go też na dyrygowanie San Francisco Symphony Orchestra — jakoś teraz na jesieni — bo chyba już kończy pracę nad swoim nowym solowym długograjem. Występ z orkiestrą będzie jednorazowy. Przypuszczalnie jednak nie spowoduje on trzęsienia ziemi ani szybkiego stolca w cichych gabinetach, w przeciwieństwie do jesiennej serii koncertów **Metalliki** w Ameryce Południowej. Co będzie? KWAC wydusił pełen bólu: *Salsa—thrash... Czas umierać.* Leżącego plackiem redachtora powaliła jednak tak naprawdę wiadomość o trasie **Ringo Starra** po Ameryce Północnej. Ringo, widziany ostatno w naszej TV w pewnym popularnym serialu (w roli złej pani

Herthy chyba tej Niemki), wyznał, że ostatnio ma świetne stosunki z Paulem i George'em: *Oni sobie mieszkają w Anglii, a ja tu w Stanach!* Ringo Starr, o ile się orientujemy, był zawsze dość nisko oceniany jako perkusista. Tymczasem kiedyś, z dziesięć lat temu, John Lennon i Paul McCartney zgodnie stwierdzili (choć każdy o innej porze dnia), że Ringa po prostu się nie docenia John: *On bębni naprawdę bardzo dobrze i bez obsuwy — zawsze chętnie go prosiłem o udział na moich płytach.* George Martin: *Ringo spędził chyba najmniej czasu w studiu z całej Czwórki — był z nich najprecyzyjniejszy!* Starrowi udało się nb. nie dopuścić (sądownie) do wydania płyty, którą nagrał mniej więcej dwa lata temu. Jak argumentował, płyta nie nadawała się do prezentacji publicznej, gdyż sesje nagraniowe przeistoczyły się w pospolitą banię i ochlaj połączone z kirzeniem i dawaniem w rurę. Tym razem się powiodło. Zaś trasa — bez wypadków.

Rozpoczął też swoje pierwsze od 13 lat tournée sam **Paul 'Yesterday' McCa.**, zapraszając do współudziału organizację na rzecz ochrony środowiska **Friends Of The Earth,** która ma korzystać z windy, jaką jest sława ex-Beatla, żeby propagować, co trzeba. Inny sposób na katastrofę cywilizacyjną wynaleźli chłopcy z **REM,** nawołując podczas tegorocznej tury europejskiej do bojkotu stacji benzynowych Exxon. Dlaczego akurat tych? Peter Buck wyjaśnia, że wkurzyła go klęska ekologiczna w wyniku awarii tankowca Exxon na Alasce. *Miałem tam spędzić wakacje.* Jak podkreśla inny z REMków, Michael Stipe, jedną z ważniejszych kwestii w Stanach jest stały obrót produktów. Chodzi o to, aby ponownie użytkować śmieci, a także nie używać rzeczy z plastiku i wytworów, których zniszczenie powoduje szkodę ekolo (benzyna, koks, chemikalia). Jak twierdzi Stipe, w Minneapolis zakazano już produkcji styropianu. Jeśli chodzi o działalność codzienną REMu, jak zeznaje pałker Bill Berry, głównie zajmuje ich w tej chwili ochrona zabytków w Ameryce, walka na rzecz zachowania starych secesyjnych budynków. *Tylko to jeszcze można ocalić w Stanach, to — i środowisko. Demokracja już poległa.*

W traski po Stanach ruszyli także **Public Image Ltd., Mötley Crüe, Fine Young Canibals, Prince** (znowu on!) **Billy Idol, Psychedelic Furs, REM** (znowu oni!) i **Janec Jackson.** Coś tam montują **Bob Dylan i New Kids On The Block.**

Sporym wydarzeniem, finansowym szczególnie, okazało się wykupienie przez molocha Poly-

Gram wytwórni **Island**, przez dwadzieścia parę lat prowadzonej niezależnie przez Chrisa Blackwella. Blackwell zostaje na stołku, a budżet firmy, jak donoszą, zwiększył się znacznie dzięki tym 300 milionom funtów, za które ponoć została ona kupiona. Ponad 10%-owym udziałowcem w wytwórni Island była grupa **U2**, której w związku z tym skapnęło z nieba coś około 30 kawałków (na zielone jeszcze więcej). Pozwoli to zespołowi opędzić najbardziej podstawowe, codzienne wydatki (jak np. niedawne aresztowanie **Adama Claytona** za posiadanie i udostępnianie haszyszu; rozprawa trwała półtorej minuty i została odroczona).

Chciałem odnieść sukces, bo dochodziłem do niego tyrając jak bawół. A i tak wyglądam na szczeniaka, który się dorobił w jedną noc — wzdycha **Axl „Guns N'" Rose**. — *„Appetite For Destruction" od początku miał być sprzedajną płytą, naprawdę staraliśmy się zamieszać w biznesie. Być może to ostatnia nasza dobra płyta, na pewno zaś nie jest to kiła.* Na swojej nowej płycie Gany I' Róże zamierzają popenetrować tereny spokojniejsze, „artystyczne" wg Axla, fortepianowo—balladowe, co nie oznacza zerwania z pociskami i kolcami. *George Michael mówił mi, że uwielbia nasze melodie (ja jego melodie też!), tylko nie rozumie, po co dusimy je głośnymi gitarami, a ja mu na to, że po prostu to lubimy. I doradziłem mu to samo.* Nowy LP/CD ma być długi, Axlowi marzy się 76 minut zróżnicowanej stylistycznie muzyki. Płyta dojrzalsza. Tak jak dojrzalszy jest kolejny, nowy LP **Ziggy'ego Marleya** *One Bright Day*, wyprodukowany znów przez TomTomClubową parę Chris Frantz–Tina Weymouth (do spółki z Ziggym i jeszcze jednym facetem). Wprawdzie ponoć Junior wciąż nie może się uwolnić od przewagi fizycznej, jaką ma nad nim Duch Starego, ale przynajmniej wziął oddech i podszedł do nowej płyty z większym luzem. Muzyka jest pewniejsza, ostrzejsza, w tekstach kaznodziejstwo ustąpiło nieco miejsca satyrze. Przesłanie wiecznie żywe: wolność.

Wielu gada, że chla na potęgę, ale tak naprawdę chlali tylko ci, co przez to kopnęli w kalendarz: Brian Jones, Phil Lynott, Jim Morrison, Bon Scott. Co do Guns N'Roses, to oni są OK, ale w ich piciu też jest więcej gadania i image'u! — mówi 17-letni **Baby Stafford**, gitarzysta szkockich hardrockowców w nazwie **Gun**, bez żadnych Roses (kiedyś w Polsce wyszła jakaś płyta The Gun z hitem „Race With The Devil", ale tamci już dawno gryzą, co i jak, poza tym byli Anglikami). Tych z kolei muzyka kręci się gdzieś na skrzyżowaniu Thin Lizzy, Rolling Stones, AC/DC, funky, Aerosmith, Simple Minds, Sex Pistols... Czyli — rock'n'roll. Jako całość. Następni do tego interesu. Debiut — LP *Taking On The World*, czyli „Na podbój świata". W sumie czemu nie, nie pierwsi, nie ostatni... And justice for all. Wszyscy pięciu są fanami Prince'a. A co do Prince'a, to jedyną piosenką, której żałuje, że sam nie napisał, jest „Miss You" Rolling Stones. Swoje koncerty i blablabla.....

Baj Baj — ENES ENES

PSZCZOŁY LUZEM — departament podobno kulinarny

Była niegdyś anegdota o dwóch malarzach spierających się, który z nich lepiej imituje rzeczywistość. Oczywiście za jedyny sposób rozstrzygnięcia dysputy uznali konfrontację dzieł przedstawiających ten sam pejzaż. Zwyciężył ten, który miast pejzażu namalował na obrazku kryjącą go zasłonkę. W dającej się łatwo przewidzieć poincie całej historii jego rywal poprosił o odsunięcie zasłonki — tym samym wydając wyrok rozwiązujący spór. Zasłonka była hiperrealistyczna nawet pozazmysłowo. Jej nieludzka wierność realnemu modelowi wykluczała ze świadomości to, co było „rzeczywistością rzeczywistą".

Pomyślałem o tym niedawno, gdy znajomy, u którego nigdy dotąd nie byłem, pokazał mi pudło ze swoimi płytami. Pierwszą, jaką na chybił — trafił wyciągnąłem, była to płyta Yes *Tormato*. I mimo, że znałem ją już od dawna, to po raz kolejny przyłapałem się ma odruchowej chęci gorączkowego rozglądania się za ściereczką. Okładka bowiem ma jako jeden z elementów rozkwaszonego na środku pomidora (i to już wszystko o kulinariach). Pomidora tak znakomicie sfotografowanego na tle zdjęcia zespołu, że mimowolnie odczuwamy żal nad tak bezceremonialnie zniszczoną okładką. Jedyna to chyba okładka spośród wszystkich Yesów, którą lubię. Ma w sobie dowcip. Cała reszta to albo zupełnie przeciętne, prościutkie pomysły, albo nadęte, patetyczne bajdurzenie, w większości autorstwa Rogera Deana, epatującego maluczkich — moim zdaniem — dość pustymi w pomyśle sztuczkami. Cała ta kosmiczno—średniowieczno—podwodno—medytacyjna frazeologia języka plastycznego Deana mogła robić wrażenie na czternastoletnim fanie Yes, ale dziś podchodzę do tego jak do nużącego curiosum.

Chyba po prostu wyrosłem. Z tamtej muzyki, z tamtej estetyki. Problem rozłamu pomiędzy dawnymi kolegami z Yes pozostaje personalno-prawną ciekawostką, w jakiejkolwiek bowiem konfiguracji panowie ci będą tworzyć, nie uda im się już chyba obudzić ze snu. I nikt się tym nie przejmie, bo nastały czasy bardzo cyniczne. Mój przyjaciel Jarek ze Świdnika powiedział niedawno: *Kiedyś jako zapamiętały fan Animalsów dorwałem płytę solową Erica Burdona — i z takim napięciem położyłem ją na adapter, a to była tak beznadziejna, kiepska muzyka, bez pazura, nijaka. Czułem się oszukany, rozczarowany, nie mogłem uwierzyć, że ktoś, kto śpiewa „Dont Let Me Be Misunderstood", moze popasc w taką beznadzieję. Dzisiejsi wykonawcy nie są tak emocjonalnie traktowani przez dzisiejszych fanów.*

To fakt. Wszystko już było. Jak płyta się podoba, to się ją kupi. Jak jest rzęch, to można ewentualnie pomidorem. Który też już był.

FILIPO ŁOBODZIŃSKO

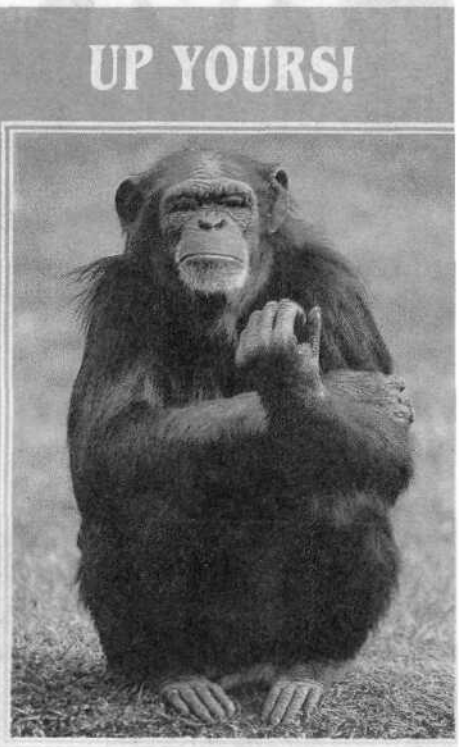

NS PROPONUJE L P's — akt I

JETHRO TULL: Rock Island (Chrysalis) **ALLMAN BROTHERS BAND: Dreams** (Polydor) **ZIGGY MARLEY & THE CONSCIOUS PARTY: One Bright Day** (Virgin America) **ISLEY BROTHERS: Spend The Night** (Warner Bros.) **MICK JONES: Mick Jones** (Atlantic) **DEAD OR ALIVE: Nude** (Epic) **VARIOUS: The Bridge — A Tribute To Neil Young** (Caroline–No 6) — jest Sonic Youth, Nick Cave, The Pixies... **TESTAMENT: Practice What You Preach** (Megaforce–Atlantic) **GEORGE CLINTON: The Cinderella Theory:** (Paisley Park) **GREEN ON RED: Green On Red — Live** (China) — ograniczony nakład! **VAN DYKE PARKS: Tokyo Rose** (Warner Bros.) **MARC BOLAN & T. REX: The Marc Shows** (Castle) **KIM MITCHELL: Rockland** (Atlantic) **BAD MANNERS: Return Of The Ugly** (Blue Beat) **MORBID ANGEL: Altars Of Madness** (Earache) **PENDRAGON: Kowtow** (Toff) **SOHO ROSES: The Quinten Crisps Of Rock'N'Roll** (Trash Can) **LILLIAN AXE: Love And War** (MCA) **ACE FREHLEY: Trouble Walkin'** (Megaforce—Atlantic)

zapraszamy na akt II — ENNEAS

ALICE COOPER

10.

Kiedy wróciłem z wakacji i poszedłem do szóstej klasy, coś się zmieniło. Wszyscy nagle zrobiliśmy się inni, zaczęliśmy częściej mówić do siebie „Panowie", a nie „Chłopaki". Jeśli chodzi o fryzury, to nadal dyrektorka miała z nami spory kłopot, tyle że teraz zapuszczaliśmy nie na George'a Besta, Petera Lorrimera czy Johana Cruijffa; zmienili się idole. Nie całkiem, bo przecież dalej graliśmy w gałę na Boisku Sosny i na Guziku (nie istniejące już „obiekty" na Polu Mokotowskim, porytym dziś alejkami i zoperowanymi skwerami). Dziewczynom w klasie powyrastały nogi, a tu i ówdzie cytryny, i nadszedł czas, gdy wieczorem trzeba było zdjąć korki czy trampki i zarzucić co tam kto miał, bo kumpel montował „pryw". Nieraz otwierały nam się oczy na możliwości tańca. Nie tylko dawał on szansę na zbajerowanie dziewuchy (i vice versa, a one też zaczynały czuć, co jest grane), przede wszystkim pozwalał na wyżycie się „w czystości" (nikt nam potem w domu nie suszył głów, „aleś się uświnił, ta piłka w kółko to mnie do grobu wpędzi").

Dwóch kumpli miało ZK-140, czterościeżko we ołtarze naszych orgii. Ja miałem jakieś trzy płyty Beatlesów, a także *Strange Days* Doorsów, których nie rozumieliśmy, choć już nas nieźle kręciło. Czasy były hippisowskie, więc za najlepsze kawałki od razu (wzorem starszych) uznaliśmy te długie i powolne. Taniec brzucha, świece, te rzeczy. Ale to naszych dziewczyn jakoś nie rajcowało. Przed-samczy instynkt kazał nam szukać tego, co dałoby im radę. Odpowiedź znaleźliśmy na Liście Przebojów studia RYTM, i tu ZK-140 okazał się nieoceniony. Obowiązywał wtedy, w 1972, glam rock (nie wiedzieliśmy, że to się tak nazywa), więc przytupywaliśmy w takt „Do You Wanna Touch Me" Gary'ego Glittera, „Mama Weer All Crazzee Nuw" Slade i „Children Of The Revolution" T. Rex, ale na mnie największe wrażenie robił wtedy taki kawałek, co się zwał „Elected". Może dzięki temu, co wiedziałem o facecie, który to śpiewał: że nosi żeńskie imię i że na scenę wychodzi z żywym boa. Większość moich partnerek o tym z kolei nie wiedziała, z triumfem zaliczałem więc kolejne „och!" wykrzykiwane z mieszaniną lęku i podziwu — szczególnie, gdy mówiłem o tym wężu, by potem zastanawiać się, jak mógłbym zdyskontować tak łatwo odniesiony sukces.

Kiedy już się nauczyłem, co się robi dalej, Alice Cooper przestał być modny.

aaaaaa

Alice Cooper to produkt.

Alice Cooper to twórca.

Produkt sceny, czasu i trochę jeszcze potomek Briana Jonesa — linia surrealistycznego nadestetyzmu. Gdy Jones umarł, Cooper wydał pierwszą płytę *Pretties for You*.

Produkt Franka Zappy, największego szaleńca w tym interesie — linia prowokacji i ironii. FZ zobaczył koncert Earthwigs — jednej z pierwszych grup Alicji — i zorganizował forsę na pierwsze jego longi.

Twórca — pierwszego horror show w historii rocka. A może nie pierwszego, ale na pewno na owe czasy najsłynniejszego. W Johnsonowsko-Nixonowskich czasach to musiało być coś. Oczy otoczone czarnymi obwódkami cieknącego makijażu, biżuteria, węże, pająki, przytulnie jak w katakumbach. I jak u Zappy, świadome operowanie kiczem. Vincent „Alice Cooper" Furnier był zawsze fanatycznym wielbicielem bzdury, przewału, pawia i taniej prowokacji. Fascynowały go brukowce, mechanizmy skandalu.

Kiedy zmył makijaż i przerzucił się na muzykę bliższą konwencjom, przepadł. Nie chciano rzemiosła. *Muscle Of Love z* 1974 — siódma płyta i ostatnia z tych dobrych.

aaaaaa

1986 — *Constrictor*, czyli Boa Dusiciel. Powrót zapomnianej super-anty-gwiazdy. Czy nie za późno? Przecież dawne dzieci struchlałych rodziców same dziś truchleją, gdy ich pociechy gnają na koncerty WASP.

Wrócił, razem z wężem, i przywlókł kawał soczystego hard rocka. I znów się przyczaił.

Dziś, gdy już znamy płytę *Trash* (czyli tak uwielbiany przezeń Śmieć, Fajans), wiemy, że rynek jest nieubłagany. Fajans błyszczy od lakieru i ma kształty z lekka opływowe. Ale smród gnijących resztek nadal gdzieniegdzie przepuszcza.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

PS. Piszę to oglądając Sopot i już wiem, że Alice może był pierwszy, ale nie osiągnął pułapu. Największy horror show na tej zmęczonej planecie dał właśnie Jurij Grigoriew przedstawiając radio tranzystorowe. Kto raz widział — nie zapomni.

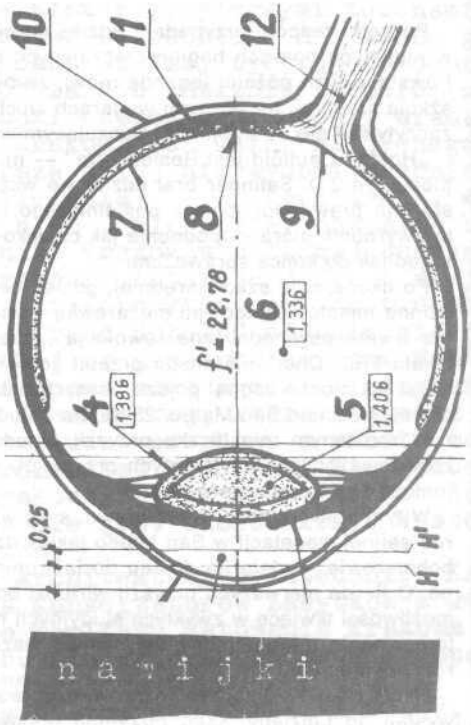

n a t i j k i

Szedłem ulicą w Nowym Jorku i pierwszych trzech ludzi, którzy poprosili mnie o autograf, miało około czterdziestki.

MIKE RUTHERFORD (Genesis)

Ludzie różnie reagują na wielkie nieszczęścia. Jedni idą do klasztoru, a drudzy do burdelu.

ROMAN POLAŃSKI

Kasperavicius jest łysy, więc dobrze główkuje.

MAREK MADEJ (TVP)

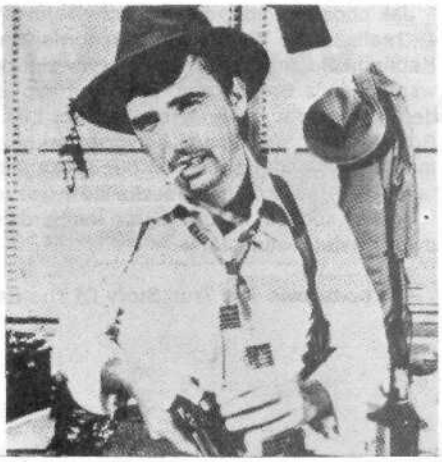

OBLADI, OBLADA

Mam już tego dosyć. Te ciągłe zmiany winiety, w majowym jakiś wytytłany w błocie Murzyn z butelką, a do tego zwroty „ta okładka zostanie nadana w późniejszym terminie" — brr. To traktowanie czytelników jak szarą masę, która wszystko strawi, nawet niestrawne bzdury.

Robert
Otwock

— — —

Oto niejaki W. Soporek w pocie czoła nagryzmolił niesamowicie idiotyczną recenzję płyty „Technique" New Order. Są dwie ewentualności. Albo Soporek wysłuchał tylko pierwszego utworu („Fine Mine"), i na jego podstawie cały album nazwał „discotechem", albo miał przykry wypadek ze słoniem (nadepnął mu na ucho). Soporek wcale nie musi się czepiać nazwy, bo każdy wie, dlaczego New Order nazywa się tak, a nie inaczej (chyba z wyjątkiem S. — w takim razie wcale nie powinien się brać za recenzję tego albumu).

Życzę zmiany zawodu (do dziennikarstwa trzeba mieć smykałkę) i wysłuchania całego albumu.

R.S.M.
Choszczno

— — —

Heja!

Dziękuję, że jesteście, że jest NS. Chciałabym każdemu z twórców gazety pokłonić się z osobna, ale to listownie chyba niemożliwe, więc napiszę tylko, że Pan Soporek powinien dostać Nobla za swoje recenzje. Są naprawdę super! Aha, powinniście skrobnąć coś o polskiej muzyce lat 60. — jest przecież ważna.

Ransa Bergera
Warszawa

— — —

Hej, polska rzeczywistości

NS emanuje złe, nieprzyswajalne wibracje. Wieje z niego jakieś ponurackie rozgoryczenie. Może to zgorzknienie pana red. naczelnego jest przyczyną tych wibracji? Mimo pozorów wesołego rozluźnienia, balangi i odjazdów wszystko w NS jest SPIĘTE (nie rozłazi mi się bynajmniej o spinacz). Ludzie zmęczeni polską kołowacizną szukają ucieczki, oderwania się od rzeczywistości. Dla jednych narkotyki, dla drugich wódka, dla jeszcze innych muzyka. W tych antycznych NONSTOPACH wystawianych w skąpych kolorach To było. Umieliście się śmiać, byliście napompowani inteligentnym dowcipem, autentycznie rozluźnieni. Teraz na twarze nałożyliście woskowe, sztywne, wykrzywione maski. Wierzę, że je kiedyś zdejmiecie, że będzie znów normalnie, bez przeginania w stronę przesady i absurdu.

Ewa Trąbczyńska
Łubniany

— — —

Czy redakcja NS musi posługiwać się tym niesamowitym, chamskim, więziennno — rynsztokowym żargonem, okraszonym głupimi dowcipami. Mam wrażenie, że staracie się być bardziej młodzieżowi niż młodzież, która Was czytuje, co daje efekt żenujący. Nie po to kupuję gazetę, aby przeczytać, że jakiś krążek zawiera 23 kawałki, że ktoś tam śpiewa o dupie Maryni, a inny kogoś glanuje, że Hołdys pił wódkę, że w jakiejś piosence chłopak poznaje dziewczynę, a potem jej wsadza, że jedni kolesie są pałkerami, a inni szyją na wiosłach, bo coś takiego to Rycho Zdzichowi może przekazać na podwórku przy śmietniku. Nie jestem purystą językowym, ale gdy stykam się z takim natężeniem bełkotu, to denerwuje mnie, że ci, którym muzyka rockowa łączy się z prymitywizmem i chamstwem, mają doskonałą pożywkę.

Z.K.
Wrocław

— — —

Kochani!

Bardzo długo czekałam, aż Wasza gazeta pojawi się w kiosku. No i jest... nareszcie. Tyle w tej gazecie dobrych tekstów, tak bardzo polubiłam to pismo, że pomyślałam sobie: „no, jeśli ci się uda ruszyć from this country na jakiś czas, to weź ze sobą NON STOP, to będzie najlepszy łącznik z krajem". Muzyczne czasopismo, no, no... Kto by przypuszczał. Ale to jest właśnie fantastyczne, że tak dobrze łączycie życie z muzyką. I nie ma tu miejsca na nadęty język, ale jest on taki, jakim się mówi do starego znajomego. (No i czasami i ja się uczę czegoś nowego, jak to w życiu — najwięcej uczymy się od kumpli.) O Was NIGDY (NEVER) nie (po never nie ma „not") zapomnę i mam nadzieję długo jeszcze będę czytać. A kiedyś trzęsącym się głosem zapytam wnuczki: „Przeczytaj no mi, kochanie, jeszcze raz, ten D'Arby to ma 80-te które urodziny? Mów głośniej, bo nic nie słyszę!".

Agnieszka Radwan
Kraków

— — —

Witam i o zdrowie pytam
Przez te opóźnienia to kompletnie schodzicie na psy.

Andrzej
Zakopane

— — —

Cześć dziennikarskie plotki!

Mam uwagi co do częstotliwości ukazywania się na tym tzw. rynku. Tłumaczenie, że żyjemy w komuniźmie, usprawiedliwia tylko w 60%.

Johny Lupino
Brzeg

— — —

Bardzo się obawiam, że po podwyżkach NON STOP będzie bardzo, bardzo, bardzo drogi.

Paweł M.
Zambrów

— — —

Cześć wszystkim piszącym w NS

Czego mi trzeba? Otóż, zróbcie sobie i zamieście zdjęcie zbiorowe, jak np. piłkarze przed meczem — chyba najlepiej w dniu wypłaty złapać wszystkich, a i miny będą radosne(?). Szef może trzymać aparat, bo Jego zdjęć mam kilka, ale reszty jako żywo nie znam.

Wojtas
Olsztyn

— — —

Szanowna Redakcjo

Nabyłem niedawno licencyjną Tinę Turner. *Ten z konieczności potrójny album wygląda jak*by piorun weń strzelił. Grzbiet wykonano jak u krokodyla, i wygląda tak, jakby robiono go po ciemku w czasie bombardowania. Wszyscy wiemy, że możliwości Polskich Nagrań tkwią w niemożliwości. Baza produkcyjna to obraz skrajnej nędzy i rozpaczy. Nieźle spisano się z „Close" Wilde czy „True Blue" Madonny, ale „Dark Side..." Szkoda gadać. Mój polski Pink Floyd przybiłem do ściany i tam prezentuje się zaszczytniej aniżeli na gramofonie. Polskie Nagrania nie poprzestały na tym na żarcie (Michael i Springsteen). Natomiast w drugim rzucie „Close" obrobiono z kopert tekstowych na rzecz zafajdanej etykiety płytowej ze znaczkiem MCA. Druga pula „True Blue" nie miała już plakatów z pierwszej wersji, a w pierwszej były plakaty, ale nie było czytanki. Wcześniej był żałosny Sting — kalectwo! „Inside Information" Foreigner nie mogłem przybić do ściany, więc musiałem złamać, bo dopiero wtedy zmieścił się w kuble. Gdy myślałem, że już nic nie wymyślę, kupiłem Prince'a „Purple Rain" i... stał się cud! Mam dydaktyczno — pieroński wniosek, że na 10 licencji płytowych w Polsce, jedna jest w miarę udana!

Krzysztof Janczewski
Olkusz

zredagował *JAN SKRADZIŃSKI*

(ORIGINAL COVER)

The Residents

jak się zaczęło

Początki zespołu przypadają gdzieś na pierwszą połowę lat sześćdziesiątych i giną w mglistych oparach bagien otaczających ciche, małe Shreveport w stanie Luizjana. Powstała dużo później legenda mówi, że było ich początkowo pięciu, a poznali się w szkole średniej. Na licznych wagarach słuchali trzeszczących płyt z lat dwudziestych i zaczytywali się do upojenia „Buszującym w zbożu" J.D. Salingera.

„Holden Caufield jest Residentem" — miał powiedzieć jeden z nich. Krążyła nawet plotka, że J.D. Salinger brał udział we wczesnych nagraniach The Residents. Wzięła się ona prawdopodobnie z pustelniczego i zdziwaczałego trybu życia, jaki prowadzi ten wyrobnik pióra — podobnie jak członkowie owej legendarnej formacji. Nie zostało to jednak do końca sprawdzone.

Po ukończeniu szkoły średniej, gdzieś około roku 1966 zdecydowali się opuścić rodzinne miasto. Załadowali ciężarówkę i skierowali się ku San Francisco, gdzie właśnie trwała psychodeliczna rewolucja „dzieci kwiatów". Młodzież porastała włosem, łykała LSD, Charles Manson przebił sobie sutek znaczkiem „Love", a Palec Opatrzności tak mocno dźgnął pojazd naszych bohaterów, że rozkraczył się nieodwołalnie w cichej mieścinie San Mateo, 25 mil na południe od San Francisco.

W rodzinnym miasteczku przyszli giganci pop-music pozostawili grupkę bardziej zrównoważonych, ale wiernych przyjaciół, którzy kilka lat później założyć mieli tajemniczą **The Cryptic Corporation**.

W tym punkcie historia się urywa, a jej wątek odnajdujemy dopiero wtedy, gdy pośród sennej wegetacji w San Mateo jakieś dziwne zrządzenie losu — jak twierdzą nasi bohaterowie — dało im dostęp do instrumentów muzycznych i sprzętu nagrywającego. O ile do pierwszych przyszli wirtuozi odnieśli się z wrodzonym sceptycyzmem, to możliwości tkwiące w zwykłych studyjnych magnetofonach wzbudziły zrozumiałe zainteresowanie. Magnetofony były wtedy ważniejsze niż instrumenty — wspominają z rozrzewnieniem.

Około roku 1970 zaczęli rozprowadzać wśród znajomych swoje taśmy. Jedną z nich wysłali do Luizjany, skąd otrzymali odpowiedź do tego stopnia entuzjastyczną, że kompletnie nieczytelną, zawierającą jednak tak wielką ilość wykrzykników, iż mogła ona wyrażać tylko gorące poparcie. „Pozwólcie nam zająć się waszą karierą!" — głosił jeden z listów, pierwsza uwertura do początków The Cryptic Corporation.

Skąd wzięła się nazwa

Przyszli Gwiazdorzy mieli już instrumenty i magnetofony, mieli pierwsze nagrania i pierwszych wielbicieli. Nie mieli jeszcze nazwy.

Początkowo chcieli nazwać się The New Beatles, ale wrodzona roztropność podpowiedziała im, że nie był to dobry wybór. Postanowili odczekać. I tylko knuli cichutko drobiazgowy plan jak wedrzeć się do show biz i zarobić milion dolarów.

Jak chce legenda, ojcem chrzestnym The Residents został w końcu **Hal Haverstadt** — realizator w Warner Bros Records. Haverstadt znany im był jako współpracownik Kapitana Beefharta. Bezimienny kwintet doszedł więc do wniosku, że ktoś kto ma coś wspólnego z Beefhartem, powinien być w stanie pojąć o co im chodzi. Wysłali więc do Haverstadta materiał o objętości LP, opatrzony jedynie tytułem — „The Warner Bros-Album", naklejkami dotyczącymi transportu (handle with care, explosive, inflammable) i adresem zwrotnym bez szczegółów. Kilka tygodni później Haverstadt odesłał taśmę adresowaną do mieszkańców (rezydentów) wymienionego w adresie miejsca.

W ten sposób narodziła się najbardziej znacząca grupa wokalno-instrumentalna dwudziestego stulecia.

(Na podstawie The True Story Of The Residents opracował) *HVGr*

RATUJMY BŁONIA!

Wyrażamy sprzeciw wobec projektowanej lokalizacji hotelu przy zbiegu ulic Piastowskiej i Mydlnickiej w pobliżu Błoń i Cichego Kącika /decyzję o lokalizacji podpisał wiceprezydent Marek Paszucha/. Inwestycja taka nie tylko zeszpeci krajobraz ale także zakłóci równowagę ekologiczną okolicy, która dla Krakowa ma wyjątowe znaczenie rekreacyjne. Hotel ten stanowić będzie pierwszy krok w kierunku urbanizacji okolicy, która nigdy nie powinna być zabudowana. Do tego, jeśli hotel będzie rentowny to korzystając z dolarowej siły przebicia, będzie się rozrastał o rozmaite obiekty towarzyszące.

Tereny przyległe do Błoń powinny być objęte szczególną ochroną ze względu na unikalne walory krajobrazowe i znaczenie ekologiczne. Powinny one stanowić przedłużenie obszaru ciszy i zieleni, której w Krakowie jest tak mało. Błonia wraz z przyległymi terenami stanowią "korytarz wentylacyjny" centrum Krakowa od zachodu- nie można go zupełnie zamknąć.

Tereny przyległe do Błoń powinny być objęte ochroną. Zagęszczenie zabudowy na przyległych obszarach znacznie wzrosło, zwiększyła się też liczba mieszkańców a warunki ekologiczne uległy drastycznemu pogorszeniu. Zieleni miejskiej jest w Krakowie za mało- na jednego mieszkańca wypada 9,4 m zieleni ponad 2,5 raza mniej niż wynosi średnia krajowa dla miast 26,6 m na osobę wraz z zielenią cmentarną/. Większość zieleni rośnie właśnie w rejonie Błoń . Nie możemy pozwolić by radosna działalność inwestycyjna zamieniła Kraków w betonową pustynię.

Z jednej strony w Krakowie istnieje deficyt miejsc noclegowych z drugiej zaś istniejąca infrastruktura nie jest dostatecznie wykorzystana. Dla przykładu remont "Grand Hotelu" ciągnie się już 10 rok a sprężystym, głównym inwestorem jest nie kto inny jak Wawel-Tourist, jeden z głównych udziałowców nowopowstałej spółki międzynarodowej Wawel Imos International Ltd", właśnie tej, która zamierza postawić hotel na Cichym Kąciku. Z faktu, że ludzi przybywa a miasto musi się rozwijać nie wynika, że musi się rozrastać byle jak. Nie jesteśmy przeciwko rozbudowie bazy hotelowej Krakowa, jesteśmy przeciwko lokalizacji hotelu na Błoniach.Nasz sprzeciw nie jest odosobniony. Wystosowano wiele innych protestów. Oto kilka z nich.

1. Protest Rady Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej z 16.06.
2. Protest Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków z 24.06.
3. Protest Obywatelskiego Komitetu Ratowania Krakowa z 28.06.
4. Protest Polskiego Klubu Ekologicznego-Okręg Małopolska z 04.07.
5. Protest Ogniska TKKF "Sokół" z 07.07.
6. Protest Stowarzyszenia Historyków Sztuki z 07.07.
7. Protest Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa z 08.07.
8. Protest Kolegium Rektorów Szkół Wyższych Krakowa z 08.07.
9. Protest Towarzystwa Urbanistów Polskich z 13.07.
10. Protest Towarzystwa Parku im. dr H.Jordana z 14.07.

Władze miasta /wiceprezydent Paszucha/ jak dotąd ignorują trwające od prawie roku protesty mieszkańców Krakowa 10000 podpisów pod petycją/ dlatego nasz protest przeniósł się na ulicę.

W Krakowie nie powinno być tolerowane nic co osłabiłoby mizerne resztki jego płuc. NIE CHCEMY HOTELU NA CICHYM KĄCIKU!

Ruch Wolność i Pokój 26.05.1989

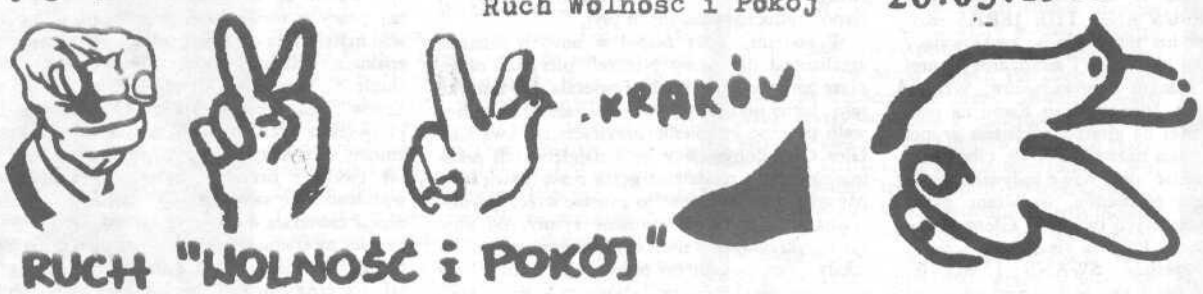

NOWY UMYSŁ

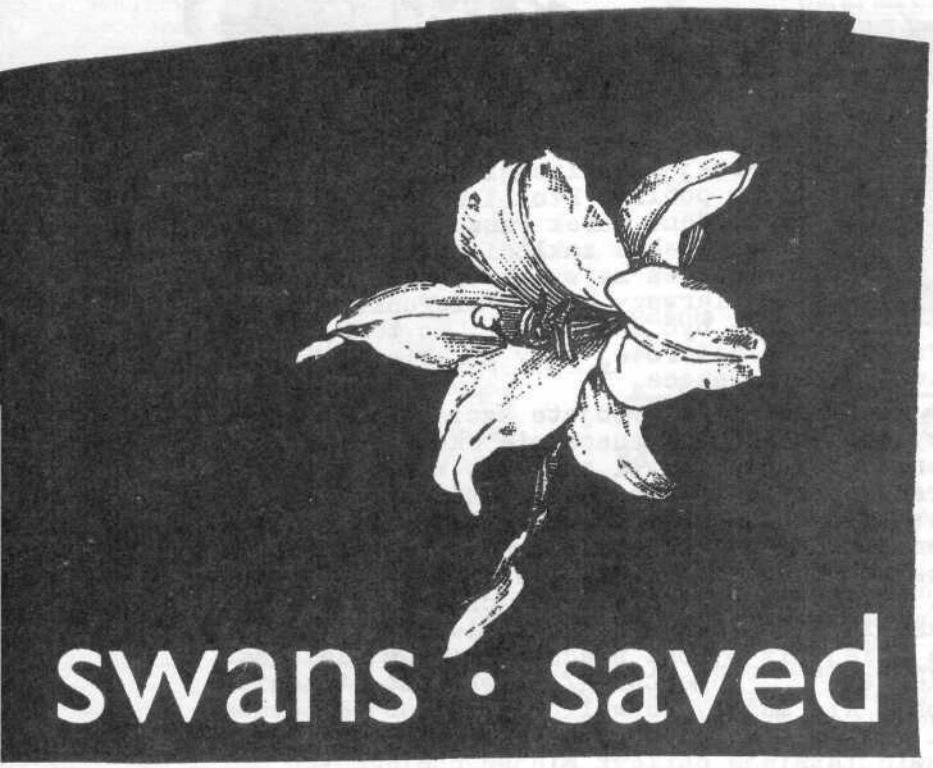

Historia muzyki rockowej, jak i innych dziedzin sztuki, uczy, iż kreują ją wybitne indywidualności. W rock'n'rollu tworzą one ciąg nazwisk od Presleya, Lennona, Jaggera, Popa, Reeda po Rottena, Curtisa czy Cave'a. Wśród tych geniuszy nie może zabraknąć jeszcze jednego nazwiska: **Michaela R. Giry.** Jest on poetą, autorem tekstów, multiinstrumentalistą, kompozytorem, wokalistą i liderem amerykańskiej formacji SWANS.

Swoją działalność artystyczną rozpoczął w Los Angeles, gdzie studiował sztuki piękne na tamtejszej akademii. Pisał wtedy wiersze, które ukazywały się na łamach czasopism podziemnych. Koniec lat 70-ych przyniósł zwrot jego zainteresowań w kierunku ruchu punk. Jego poezje zaczynają się ukazywać w fanzinie „No Magazine", wokół którego skupiła się ówczesna czołówka twórców, wykorzystujących ekspresję punk-rocka dla zrealizowania swej własnej sztuki. Czasopismo to publikuje również jego artykuły oraz teksty tworzone dla współpracujących z nim zespołów LITTLE CRIPPLES, BP PEOPLE, CIRCUS MORT. W roku 1980 Gira przenosi się do Nowego Jorku. Miasto to tętni swym podziemnym życiem. Był to okres dominacji kończącego się ruchu „no wave", którego głównymi przedstawicielami byli James Chance (alias James White) i jego grupa CONTORTIONS oraz Lydia Lunch z zespołem TEENAGE JESUS AND THE JERKS. Rodzą się bowiem już nowe prądy: wykluwający się z punk-rocka hard-core i awangardą, której Gira staje się jednym z prekursorów. Wraz z dwójką przyjaciół, **Jonathanem Kane** na perkusji i **Sue Hanel** na gitarze, zakładają grupę, której z czasem dają nazwę SWANS. Obok niego zaczynają działać inne, nowe indywidualności nowojorskiego podziemia, wspierane przez bardziej doświadczonych twórców: Glena Branca i Lydię Lunch. Pojawia się „noise scene", którą tworzą właśnie SWANS i SONIC YOUTH z Nowego Jorku oraz artyści spoza tej metropolii, a nawet USA: BUTTHOLE SURFERS, NICK CAVE, JIM FOETUS, DIAMANDA GALAS i EINSTÜRZENDE NEUBAUTEN. W przypadku tych wykonawców nie ma jednak mowy o jakiejkolwiek wspólnocie podobnej ruchowi punk. Była to grupa twórców, których łączyło zafascynowanie estetyką hałasu i brzydoty oraz dawanie wyrazu swemu przekonaniu o rozpadzie cywilizacji przy pomocy rozkręconego na full wzmacniacza. Każdy z tych wykonawców proponował jednak odmienną od poprzedniego, oryginalną i niezwykle nowoczesną muzykę. Szczególnie bliskie związki połączyły SWANS i SONIC YOUTH. W listopadzie 1982 roku odbyło się „Savage Blunder Tour" obu zespołów. Lee Ranaldo ozdobił swoimi zdjęciami okładkę płyty SWANS *Cop*, zaś Gira udostępnił swój tekst „The World Looks Red" grupie SONIC YOUTH, która wykorzystała go na albumie *Confusion Is Sex*.

Rok 1982 przyniósł debiuty obu zespołów. Ukazuje się EP-ka zatytułowana po prostu *The Swans*, a wydana przez wytwórnię Labor w minimalnym nakładzie. Dziś jest to płyta praktycznie nieosiągalna i nawet nie wliczana do oficjalnej dyskografii zespołu.

Rok później zaszły zmiany w składzie grupy. Odchodzi Sue, a dołączają: **Norman Westberg**, gitarzysta; **Harry Crosby**, grający na basie, oraz bębniarz **Roli Mosimann**, współtwórca niespotykanego brzmienia grupy i współproducent wczesnych płyt.

W kwietniu 1983 zespół w nowym składzie zrealizował dla firmy Neutral, pierwszą długą płytę zatytułowaną *Filth*. Zawierała ona muzykę taką, jakiej nikt do tej pory nie zagrał. Dominowało potężne brzmienie przytłaczające swą siłą. Głos Giry dobywający się z najgłębszych zakamarków ciała rozdzierał gęstą masę dźwięków. Muzyka, bardzo mimo to prosta, wręcz prymitywna, przypominała rytualne rytmy, do których wykrzykiwano nieskomplikowane językowo teksty. Ten powrót do pierwszego rytuału, zafascynowanie brzydotą i zwulgaryzowanie rockowych form przywodziło na myśl ewentualne odniesienia do THE STOOGES, BIRTHDAY PARTY i industrialu, jakich można by było, choć z wielkim trudem, doszukiwać się w muzyce SWANS. O ile pierwsza płyta była brudna i pełna wszechogarniającego żywiołu, to drugi album zatytułowany *Cop*, a zrealizowany w 1984 już bez Cane'a, przynosił czystsze i klarowniejsze brzmienie. Uzupełniony EP-ką *Raping A Slave* wydany był przez firmę K.422, filię Some Bizarre. Na obu tych krążkach muzyka uzyskała nowy wymiar. Kompozycje stały się wolniejsze, miało się wrażenie, że odtwarzane są z niewłaściwą prędkością. Potęgowało to wrażenie sennego koszmaru emanujące z całej płyty. Podstawą tej ponurej muzyki był miażdżący bas i perkusja, zwracała też uwagę gra gitarzysty, który zabłysnął już na poprzedniej płycie. Dźwięki wydobywające się z jego instrumentu były długie, rozciągnięte i nie przypominały niczego, co zagrano do tej pory w rocku.

Muzyka, całkowicie pozbawiona melodii, skupiała się jednak wokół głosu Giry, wyrzucającego z siebie teksty posiadające w twórczości grupy, z racji poetyckiej przeszłości ich twórcy, duże znaczenie. Tematyka krążyła wokół dwóch problemów: poniżenia oraz deformacji ludzkiego ciała. Autor z masochistyczną wręcz satysfakcją obsesyjnie odkrywał swoje kompleksy. Współczesny świat jawił się tu jako znakomicie funkcjonujący układ niewolników i ich panów, z których ci pierwsi stale byli poniżani, deptani i gwałceni przez tych drugich za pomocą sprawdzających się od wieków sposobów: bezmyślnej pracy i aparatu bezpieczeństwa. Podstawą tego ostatniego był oczywiście „glina", który jak nikt inny potrafi uczyć zginać kark. Owo „gięcie" było wyrazem umysłowej i fizycznej deformacji, jakiej poddawane były ciało i świadomość. Stąd już tylko krok do koncepcji „glinianego człowieka", którego łatwo odkształcić zgodnie z życzeniem. Ciało przedstawione jest jako coś niezwykle kruchego, zniszczalnego. Łatwo je spalić, zgnieść, rozerwać... Ta fascynacja rozkładem i psuciem się ludzkiej powłoki przypomina obsesje surrealistów, a szczególnie Salvadora Dali i jego „Płonącą Żyrafę".

Rok 1985 przyniósł zasadnicze zmiany dla zespołu. Opuścił go Roli Mosimann, który po krótkiej współpracy z Jimem Foetusem w zespole WISEBLOOD zajął się produkcją innych artystów, m.in. debiutanckiej płyty YOUNG GODS. W jego zastępstwie przewija się równocześnie aż trzech bębniarzy: **Ivan Nahem, Renaldo Gonzales** i **Ted Parsons.** W składzie SWANS pojawia się również inna, bardzo ważna dla grupy osoba. Jest nią awangardowa wokalistka, kompozytorka i autorka tekstów, **Jarboe.**

Przed przyjazdem do Nowego Jorku i przed spotkaniem z Girą, związana ona była z podziemiem muzycznym w Atlancie. Tam zrealizowała swe solowe prace umieszczone na albumach *Dry Lungs*, które były zadziwiającą syntezą elektroniki, industrialnych szumów i głosów. Jej przyłączenie się do SWANS wpłynęło zasadniczo na zmianę brzmienia. W czerwcu 1985 zespół wszedł do studia, aby w toku prawie rocznej pracy z niewielkimi przerwami zarejestrować materiał na cykl płyt oznaczony wypalonym znakiem dolara. Składały się nań dwa maxi single: „Time Is Money (Bastard)" i „A Screw", oraz albumy *Greed* i *Holy Money*. Już pierwszy z tych krążków przynosił zasadnicze zmiany w stylistyce grupy. Muzyka nie była już tak ciężka i brutalna, a nowy ton nadawało wprowadzenie samplerów. Rozwinięcie tej koncepcji zawierała duża płyta *Greed*. Dominowało na niej mechaniczne ponure brzmienie, tworzące przytłaczający, senny klimat. Nie była to już tak fizyczna muzyka, jak na poprzednich płytach. Odwoływała się ona do doznań typowo

the world of skin

umysłowych i była swoistą wersją psychodelii. Kwintesencją tego stylu był wspaniały, tytułowy utwór płyty. Ostatnie nagranie „Money Is Flesh" stanowiło z kolei wprowadzenie do drugiego rozdziału cyklu. Poprzedzony był dobrym, znakomicie samplerowanym maxi singlem „A Screw" album *Holy Money* przyniósł prawdziwie apokaliptyczne brzmienie, bardziej automatyczne, wydłużone, ale i zróżnicowane. Pojawiły się bowiem większe wokalne wypowiedzi Jarboe. Oprócz dotychczasowych nieziemskich wokaliz drugiego planu, na maxi singlu („Blackmail") i na dużej płycie („You Need Me") znalazły się melancholijne utwory, gdzie jej piękny głos miał okazję w pełni zaistnieć. W śpiewie Jarboe czuło się wpływ jazzu i gospel. Album ten zawierał również dwie nowe wersje utworów z poprzedniego krążka: „Fool" i „Money Is Flesh", które, podobnie jak cała płyta, miały tu bardziej majestatyczne oblicze. W sumie muzykę z tych wszystkich płyt można nazwać bluesem lat 80-ych, gdyż na swój sposób nawiązywała ona do tego gatunku, podobnie zresztą jak i do psychodelii, w tych bowiem tradycjach tkwiła artystyczna koncepcja zespołu. Tematyka tekstów niewiele się zmieniła. Nadal w centrum zainteresowania znajdowało się poniżenie człowieka, jego uzależnienie od pieniądza, drugiej osoby, siebie, swoich obsesji i słabości, od Boga. Człowiek jawi się jako istota skazana na nieustanne cierpienie, służenie i niezaspokojenie. Biologizm tych uczuć i czynności ewokuje erotyczną metaforykę, niezwykle plastyczną i odświeżającą w zestawieniu z taką, a nie inną tematyką. Z tekstów wyłania się świat, w którym ludzie poddani prawu siły pełzają niczym robaki, słabsze przed silniejszym, a ich bóstwem jest pieniądz. Człowiek odnajduje masochistyczną rozkosz w poniżaniu, cierpieniu, niewolnictwie, byciu gwałconym i nie może bez tego żyć.

Wydanie *Greed* i *Holy Money* przyniosło zespołowi szerszy rozgłos. Płyty zostały dość wysoko ocenione przez brytyjską krytykę, a uwieńczeniem tego okresu była trasa koncertowa, której udokumentowaniem stał się podwójny „official bootleg" — *Public Castration Is A Good Idea*, zawierający przeraźliwie wydłużone, apokaliptyczne wersje utworów z obu ostatnich płyt. Na koncertach tych grał już **Algis Kizys**, nowy basista grupy, która ograniczyła swój skład do podstawowej piątki.

Rok 1987 grupa spędziła w studiu pracując nad nowym materiałem, który wydano w sierpniu nakładem firmy Product. Poprzedzony maxi singlem „New Mind" album *Children Of God* okazał się dziełem genialnym. Obwołany został przez krytyków jedną z najlepszych płyt lat 80-ych, a nawet w całej historii rocka. Co złożyło się na taki sukces? Przede wszystkim znakomite zespolenie treści i formy. Monumentalne, potężne brzmienie odpowiadało tekstom mówiącym o religii i jej miejscu w życiu człowieka. Muzyka przerażająca swą siłą i wielkością trwała długo w czasie sprawiając wrażenie wiecznej, jak Bóg, który był centralną postacią tej płyty.

Drugim jej obliczem były utwory śpiewane przez Jarboe. Piękne i smutne stanowią antytezę dla mocnych utworów Giry. Brzmienie płyty wzbogaca użycie akustycznych instrumentów oraz bardziej już wyraźny wpływ bluesa, folk czy country w takich utworach jak „Our Love

FUJI
36

Lies", czy też „Real Love". Wiodącą rolę spełniają jednak samplery obsługiwane przez parę liderów SWANS. Najmocniejszymi punktami płyty są otwierający „New Mind", ekstatyczny „Sex God Sex" oraz przerażający „Blind Love". Niezwykłe efekty przyniosło również zastosowanie przez Girę seksualno-biologicznej metafory do tak kontrowersyjnego tematu jak religia. Dzięki temu teksty stały się wieloznaczne. Część z nich podejmuje problematykę relacji człowiek-człowiek, eksponując takie jej elementy jak zdrada, samotność, odrzucenie, niezaakceptowanie swego ciała lub uczuć („In My Garden", „Blood And Honey", „You're Not Real Girl").

Główną tematyką jest jednak inna relacja: człowiek-Bóg. Bohater pierwszego utworu przybiera postać telewizyjnego kaznodziei, by w „Our Love Lies" przeobrazić się niemal w proroka ukazującego Bogu swój przerażony, zastraszony lud. „Sex God Sex" jest z kolei zapisem religijnej ekstazy, która nabiera seksualnego charakteru.

Na płycie następuje też początkowo odwrócenie tej tradycyjnej zależności: to człowiek staje się stworzycielem Boga, który później żyje jego miłością i wiarą („Real Love"). Śmierć wydaje się więc być warunkiem istnienia owej ślepej miłości, wiary, która kreuje Boga. Odkrycie tego faktu przez umierającego człowieka, bohatera utworu „Blind Love", daje mu ukojenie. Kiedy jednak zostaje przekroczony próg, nie ma już cierpienia, poniżenia, bólu i kłamstwa. Nie ma ciała. Istniejemy jednak nadal. Okazuje się, że to my narodziliśmy się z woli Boga, a nie na odwrót („Children Of God"). Przejście przez wrota śmierci, sprawiającej, że wiara musi być ślepa (co rodzi cierpienie, wątpliwości i bluźnierstwo), powoduje, że miłość staje się prawdziwą jednością z Bogiem. Dlatego też ostatnie słowa z „Blind Love": „Feel good now: one love" — stały się tytułem kolejnego albumu, znów koncertowego, dokumentującego tournée grupy. W jego ramach zespół dał również koncert w Warszawie, który osobiście uważam za najlepszy koncert rockowy, jaki kiedykolwiek u nas się odbył.

Swoistą niespodzianką dla fanów SWANS było wydanie w 1987 i 1988, a zrealizowanych jesienią '86, płyt formacji SKIN, czyli indywidualnych wypowiedzi Jarboe i Michaela Giry. Zarówno *Blood, Women, Roses*, jak i *Shame, Humility, Revenge*, na których inżynierem dźwięku był John Fryer z 4 AD, to elektroniczno-akustyczne pieśni, zdradzające muzyczne fascynacje obojga twórców (jazz, gospel, blues, country i folk). Tekstowo bardzo kobieca płyta Jarboe podejmuje głównie tematykę niespełnienia. Zrodzone z poniżenia, odrzucenia, braku miłości, przynosi ono obsesje i szaleństwo. Miłość przeradza się z kolei w całkowite oddanie, zapamiętanie się w drugiej osobie mającej nad nami totalną przewagę.

Gira podejmuje również temat uzależnienia zrodzonego z miłości które nie likwiduje obcości i zaniku uczuć. Rodzi to samotność, która prowadzi do obłędu lub samobójstwa. Pojawia się również motyw niemożności uwolnienia się od cierpienia wyrządzonego innemu człowiekowi i zemsty dosięgającej winowajcę po latach.

Obie te mroczne płyty stanowiły jedynie odskocznię od działalności SWANS. Zgodnie z zapowiedzią na *Feel Good Now*, album ten stanowił pożegnanie z dotychczasową stylistyką, a dowodem tego stał się maxi singiel „Love Will Tear Us Apart", zawierający rewelacyjne „cover versions" utworu JOY DIVISION oraz akustyczne wersje dwóch utworów z *Children Of God*. Współproducentem płyty był stary znajomy ze SWANS Roli Mosimann. Po jej wydaniu Gira odbył podróż do Maroka, gdzie miał się spotkać ze swoim ulubionym pisarzem Paulem Bowlesem. Do spotkania nie doszło, ale dzięki zetknięciu z inną kulturą powstał pomysł na nową płytę. Po powrocie do USA grupa zredukowana do trio: Jarboe — Gira — Westberg przystąpiła do pracy w studio. Okazało się, że nie jest ono już niezależne, bo zespół podpisał kontrakt z firmą MCA. Celem tego kroku było pozyskanie do współpracy innych artystów. Wśród nich znalazły się takie znakomitości jak Bill Laswell jako producent, Fred Frith czy Shankar. Efekty, czyli maxi singiel „Saved" oraz album *The Burning World* ujrzały światło dzienne wiosną tego roku. Zaskoczenie było zupełne. Płyty zawierały bowiem bardzo bogatą, melodyjną, tradycyjną niemal muzykę rockową z silnymi elementami country, folk, ballady oraz różnych afrykańsko-azjatyckich kultur muzycznych. Gira śpiewał jak mistrzowie: Cohen, Cash czy Merle Haggart, a Jarboe rozwinęła w pełni skalę swego głosu. Teksty bardziej skomplikowane, pełne jednoczącej ludzi i naturę miłości, mieniły się różnymi odcieniami: od smutku i rozpaczy do euforycznej radości. Ten urzekająco piękny album spotkał się z przychylną opinią krytyki, która jednomyślnie obwieściła, iż SWANS na dobre wypisał się z towarzystwa zwariowanych twórców w rodzaju BUTTHOLE SUFFERS czy EINSTÜRZENDE NEUBAUTEN.

Kiedyś Michael R. Gira mówiąc o swej muzyce z typową dla siebie zwięzłością i prostotą stwierdził, że stanowią ją: *Bóg, życie, miłość, kobiety, ślina, świat... Tak, właśnie to.* Synteza tych elementów mogła przynieść coś interesującego. Poprzez projekcję w jego umyśle dała genialny efekt. Taka bowiem była, jest i miejmy nadzieję będzie muzyka Michaela R. Giry, Jarboe i innych, którzy stanowili lub stanowią to, co kryje się pod nazwą SWANS.

PAWEŁ GZYL

PS. Jarboe, thanks for all.

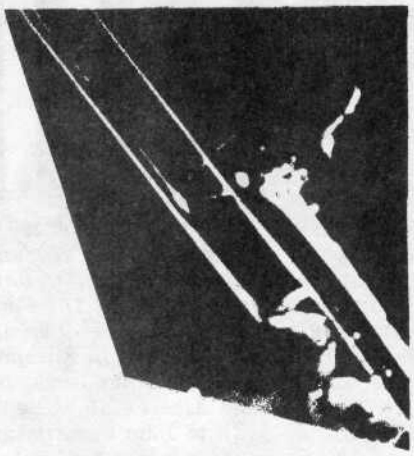

Artysta potrzebuje inkwizycyjnego rygoru pracy. Dupa — jakie natchnienie?

TOMEK BUDZYŃSKI (Armia)

Najbardziej nie lubię Prince'a i Rolling Stonesów. Gdybym umiał, grałbym jak Rush. Rush i Bad Brains to najlepsze zespoły na świecie.

TOMEK BUDZYŃSKI (Armia)

Hare Krishna to życzliwa, otwarta, dostępna religia. Ludzie przynoszą ci drobne upominki i wydajesz się sobie nagle tak samolubny. Uświadamiasz sobie, jacy jesteśmy twardzi, zacięci. W Anglii zwolennicy Krishny nie są lubiani. Ale myślę, że jest to tylko brak respektu, który okazuje im się dlatego, że ich się nie rozumie.

KATE BUSH

ccr - kierunek ameryka

gdy wejdziesz między wrony to kracz jak one ale jeśli kraczą w różny sposób to co wtedy zawsze stajesz wobec wyboru albo gity albo hipy albo punk albo metal albo sanacja albo endecja i my w redakcji też się kłócimy bo trzeba przyznać jest o co Anglia Anglia to jest to nie my wolimy Amerykę Ameryka to Elvis Chuck Berry Dylan Zappa Hendrix Janis Van Halen Doors Prince i w ogóle Czarni Santana Lou Reed Pere Ubu Talking Heads Guns N' Roses Residents i cały ten jazz zaraz zaraz a Anglia to pestka przecież Beatles Rolling Stones Mayall Clapton Fleetwood Mac ten stary poza tym Iron Maiden Def Leppard Led Zeppelin Pink Floyd Deep Purple Genesis Black Sabbath Sex Pistols The Who Cure Stranglers David Bowie i tak można dalej wyliczać kto by już pamiętał o Irlandii Australii Kanadzie Burkina Faso i nagle w środek tej bezproduktywnej strzelaniny wpada listonoszka rzucając zaklęcie i list z którego jasno wynika tym razem jednak Ameryka bo czytaliśmy takie słowa:

Piszą do Was uczniowie jednej z bytomskich szkół średnich. Większość z nas od niedawna czyta Wasze czasopismo, ale czy to kwestia pecha czy przypadku, nie udało nam się jeszcze trafić na zdjęcie lub obszerną informację na temat zespołu Creedence Clearwater Revival. Dysponujemy tylko siedemnastoma nagraniami, żadnym zdjęciem, a z informacji wiemy już tyle, że solista nazywał się John Fogerty i że zespół zapewne nie istnieje... Nigdzie nie możemy zaczerpnąć informacji, bo kogo się zapytamy, to otrzymujemy tego typu odpowiedzi: „Najpierw przez tydzień musiałbym się uczyć nazwy...". Z nagraniami też trudno, w bytomskiej wypożyczalni płyt compaktowych również nie słyszeli o tym zespole. Zespół nam się podoba, muzyki potrafimy słuchać w kółko, ale naturalnie chcielibyśmy wiedzieć też, kogo słuchamy, i czasami mieć ich przed oczyma... bowiem od pewnego czasu polegamy na własnej wyobraźni (tylko to nam zostało). Możemy się więc podzielić z Wami tym, że „nasi Creedensi" mają długie włosy. Tak się przynajmniej wyśniło jednej z naszych koleżanek...

i staramy się Wam pomóc ale trzeba by zacząć od tego że przecież dżentelmeni nie rozmawiają o faktach że doświadczanie muzyki jest nieopisywalne bo każdy z nas mówi myśli i pisze a niekoniecznie zna się na przegłosach trybach partykułach i kadencjach a gdyby Creedence Clearwater Revival zastrzegli sobie anonimowość jak The Residents to już by się Wam gorzej słuchało? ale oni nie są incognito więc to wygląda tak że bracia John i Tom Fogerty grają na gitarach Stu Cook na bębnach a Doug

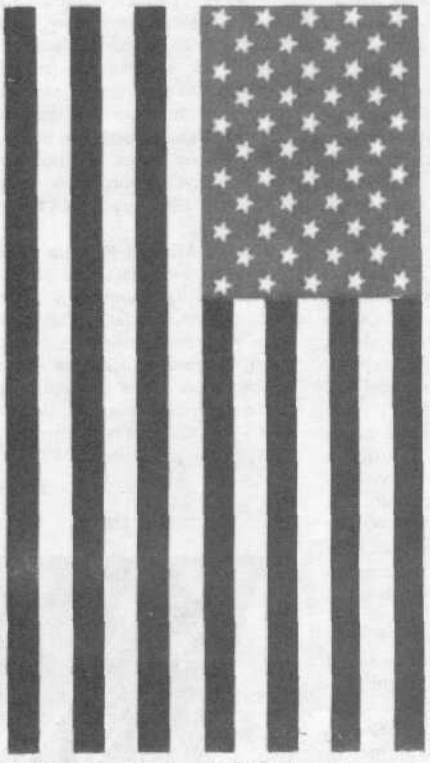

Clifford na basie od 1969 do 1974 wydali osiem płyt *Creedence Clearwater Revival — Bayou County — Green River — Willie & The Poor Boys — Cosmos Factory — Pendulum — Mardi Gras — Live In Europe* — do tego jakieś składanki i czkawkowy *Live At The Albert Hall* w 1981 że w zasadzie CCR to John Fogerty który skomponował i zaśpiewał niemal wszystko a kiedy nagle w 1986 zrobił comeback odmówił grania swoich starych hitów ludzie błagali gwizdali ale nie zmiękł dopiero potem kiedy Dylan go przekonał że warto przypomnieć małolatom jak sprawy stoją no i zagrał „Proud Mary" i „Born On The Bayou"

a przecież tych wielkich prostych hitów było więcej „Bad Moon Rising" „Fortunate Son" „Who'll Stop The Rain" „Up Around The Bend" „Have You Ever Seen The Rain" „Hey Tonight" „Lodi" „I Put A Spell On You" i jeszcze parę ale ze smutkiem muszę wyznać że na tym chyba koniec bo Fogerty poza tym plagiatował sam siebie i inne piosenki były mniej lub bardziej udanymi? potrzebnymi? wersjami tych co jak wyżej ale prostota i urok (frazes) pozostaną nikt prawie tego już dziś nie gra Tina Turner śpiewa „Proud Mary" i tyle i może te osiemnaście piosenek to właśnie to co o CCR wiedzieć należy i chwatit byli kwintesencją białego rocka amerykańskiego trochę country trochę folku trochę soulu a Byrdsów też się chyba słuchało

teraz ich nie ma i to dobrze że ich lubicie
bo na zapomnienie nie zasłużyli

FILIP ŁOBODZIŃSKI łapie dech

Nie jestem sławna. Jechałam pociągiem z Basingstoke do Londynu i nikt mnie nie rozpoznał. Nigdzie nie byłam rozpoznana przez gawiedź... z wyjątkiem Norwegii. Co to w ogóle znaczy być sławnym? To nie jest nic szczególnie strasznego czy znaczącego.

TANITA TIKARAM

Nigdy nie spotkałam obleśnych mężczyzn.

TANITA TIKARAM

Ostatnio grałem w tych dużych halach może ze dwa razy jako gwiazda, ale to mi nie przeszkadza. I tak mam dużo fanów, a za to nie mam wielkiego ego. Można tak postępować, jeśli to utrzymuje w niezłej formie psychicznej. Przecież na scenę wychodzę po to, by robić muzykę. To jest mój główny cel i będzie nim niezależnie od tego, czy jestem gwiazdą czy supportem.

UDO DIRKSCHNEIDER (U.D.O.)

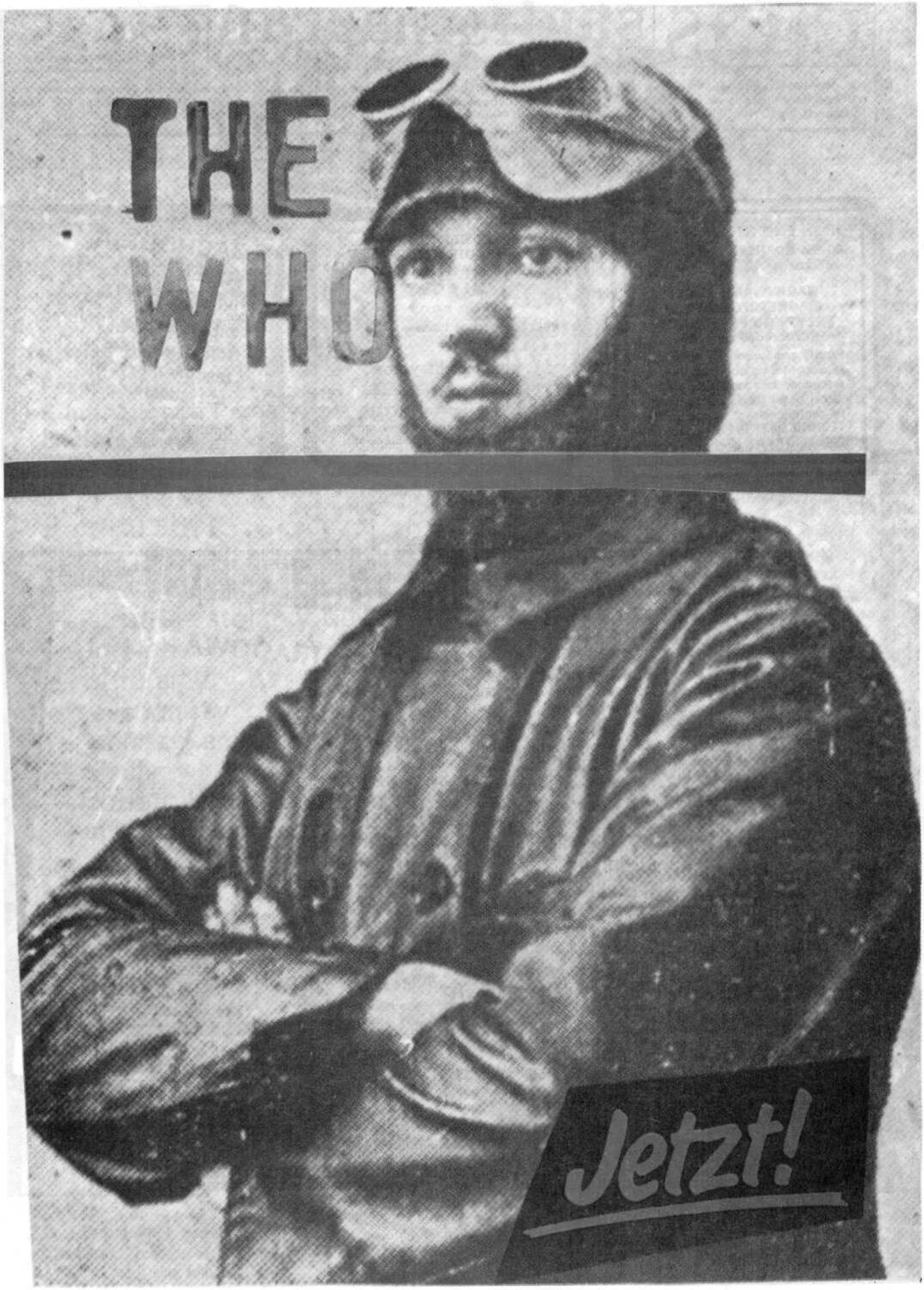
THE WHO
Jetzt!

C★C★S studio nagrań C★C★S

Profesjonalne studio nagrań Warszawa, ul. Strawczyńska 4, tel. 37-73-61. Najnowocześniejszy sprzęt m.in. 16-kanałowy magnetofon, 24-kanałowy seouencer. Uwaga: nowy mikser Soundcraft 6000-32-16-2/. Wszelkie efekty. Cyfrowy master. Dotychczas nagrywali m.in.: Maanam, Perfect, Urszula, Moskwa, Kult, Opera, Aurora, D. Rinn, Walk Away, Aya RL, J. Strobel, Ossjan, Skauci Piwni, J. Satanowski, P. Gintrowski... Ceny do uzgodnienia.

TD-77(1)

HIGH END STUDIO
80-851 GDAŃSK
ul. Korzenna 1B/12

NAGRYWANIE KASET MAGNETOFONOWYCH Z PŁYT KOMPAKTOWYCH.
Różnorodny repertuar.

Przyślij zamówienie, a otrzymasz katalog. Możesz otrzymać również oryginalny tekst angielski nagrywanej płyty. Nagrań dokonujemy na profesjonalnym sprzęcie firm: TECHNICS, PIONEER i DOLBY LABORATORIES.

Gd-77083/01

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWO-HANDLOWE „M E G A"
Sp. z o.o.
Gdańsk, ul. Piaskowa 9A

p o l e c a:
gitary elektryczne
po konkurencyjnych cenach.

Dla sklepów muzycznych rabat.
Prowadzimy pośrednictwo w obrocie sprzętem muzycznym. Wystawiamy rachunki dla j.g.u.

Gd-1597 (1)

▪ ZACHODNIA AGENCJA MUZYCZNA
zaprasza do współpracy solistów, profesjonalne zespoły muzyczne wszystkich typów.
Informacja: Łódź, tel. 36-77-39, godz. 8—11.

41368 (0)

ELEKTROAKUSTYCZNA APARATURA ESTRADOWA

— KUPNO-SPRZEDAŻ
— DORADZTWO TECHNICZNE i HANDLOWE
— POŚREDNICTWO
— KOMPLETACJA ZESTAWÓW:
● Mikrofony ● Głośniki ● Miksery ● Wzmacniacze mocy
● Kolumny głośnikowe ● Kompletne zestawy nagłośnieniowe
● Sprzęt dyskotekowy ● Magnetowidy, kamery, zestawy video
● Maszyny do wytwarzania dymów.

PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLOWO—USŁUGOWE „R O N D O" Sp. z o.o.
02-563 Warszawa, ul. Wiśniowa 15, tel. 48-03-53
tlx 816792 RONDO PL

RONDO SP. Z O.O.

TD-459/1/

Chcesz dobrze zarobić, po roku pracy wyjechać na budowę eksportową — podejmij pracę u nas!

Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego
BUDOSTAL — 2
ODZNACZONE ORDEREM SZTANDARU PRACY I KLASY

zatrudni natychmiast:

— murarzy — tynkarzy
— cieśli — stolarzy budowlanych
— zbrojarzy
— betoniarzy
— posadzkarzy
— fliziarzy
— robotników budowlanych do przyuczenia zawodu
— spawaczy elektrycznych i gazowych
— spawaczy z uprawnieniami odbiorowymi Rs, Bs
— monterów rusztowań rurowych
— blacharzy samochodowych

Przedsiębiorstwo zapewnia wysokie zarobki wg zakładowego systemu wynagradzania.
Oferujemy wyjazd po roku wzorowej i nienagannej pracy. Przy przedsiębiorstwie działa Młodzieżowa Spółdzielnia Mieszkaniowa, w ramach której istnieje możliwość uzyskania mieszkania już po 5 latach nienanganej pracy.
Istnieje możliwość zdobycia dodatkowej, pokrewnej specjalności poprzez szkolenie równoległe z wykonywaniem pracy zawodowej, co stwarza dodatkowe preferencje na budowach w kraju i za granicą.
Przedsiębiorstwo zapewnia wczasy oraz kolonie i zimowiska w ośrodkach własnych i innych, w ramach współpracy na terenie kraju i za granicą.
Zamiejscowym zapewnia bezpłatne zakwaterowanie w hotelach pracowniczych, świadczenia rozłąkowe oraz dowóz z terenu województwa krakowskiego, nowosądeckiego i tarnowskiego.
Inne świadczenia wynikające z Układu Zbiorowego Pracy w Budownictwie i „Karty Budowlanych".
Oferuje pracę na budowach na terenie Krakowa, Dąbrowy Górniczej, Ostrowca Świętokrzyskiego, Bochni i Niepołomic.

Bliższych informacji udziela Dział Zatrudnienia i Płac, Kraków — Nowa Huta, ul. Mrozowa 4, tel.: 44-46-66, 44-95-00, wewn. 57-78 lub 44-09-37, wewn. 65, skrytka pocztowa 43.
Dojazd tramwajem linii nr 4, 9, 16 w kierunku Walcowni Huty im. Lenina.

KTD-29 (1)

● **NUTY** gitarowe riffy, akordy, solówki, tematy, techniki (jazz, blues, rocki, heavy metal). Koperta + znaczek. 27-600 Sandomierz, skrytka 34.

Lu-90790(0)

● **ROMARC** — profesjonalne gitary solowe, basowe. Systemy tremolo. Zamówienia specjalne. Gwarancja. Krótkie terminy. Roman Koc, 88-140 Gniewkowo koło Inowrocławia, Kościelna 9.

Gd-77023(0)

● **Za. K MUSIC EXPORT** 1000 Berlin 62. Wartburgstr. 7. Export instrumentów muzycznych i aparatury. Konkurencyjne ceny, szybka realizacja zamówień. Informacji o cenach i porad udziela rzeczoznawca MKiS Krzysztof Jarkowski, 80-855 Gdańsk, ul. Lagiewniki 64D/13.

Gd-77011(1)

● **POSZUKUJĘ** producentów nagranych kaset magnetofonowych. Gdańsk, telefon (0-58) 47-91-31.

Gd-77039(1)

● **ORGANY,** polisyntezatory (efekty niekonwencjonalne plus wszystkie podstawowe). Ceny zdecydowanie konkurencyjne. Gwarancja. Mieczysław Mach, Elbląg, ul. Brzechwy 29/3.

Gd-77052(1)

● **„FOTO** pozycje miłosne" — to broszura zawierająca fotografie pozycji seksualnych w damsko-męskim wykonaniu. Jedyna okazja — nakład ograniczony! Aby otrzymać broszurę należy przesłać 3.700 zł przekazem zwykłym na adres: GOLDMAR Opole 1, skrytka 14. Kto pierwszy ten ma!

NSOp-105907(1)

● **POMOC** fonoamatorom! Koperta, znaczek — 44-224 Knurów, P-2.

Kt-137244(1)

● **POSZUKUJEMY** atrakcyjnych dziewczyn do współpracy jako fotomodelki, stripteaserki, kelnerki topless. Zgłoszenia listowne na adres: GOLDMAR Opole 1, skrytka 14 z dopiskiem „KTS".

Op-105852(0)

● **BROSZURKĘ** „Pozycje miłosne" otrzymasz wpłacając przekazem zwykłym 1.000 zł na adres: Agencja GOLDMAR 45-076 Opole 1, skrytka pocztowa 14.

op-105872(1)

● **FOTOBIULETYN** międzynarodowy — przyjaźń-małżeństwo. Kraków 39, box 23.

Kr-81347(1)

● **PD AC/DC do ZZTop:** biografie, dyskografie, teksty — „LA", P.O.Box 350, 25-950 Kielce (koperta + znaczek).

Kr-81346(1)

● **EKSKLUZYWNA** wyrafinowana komercja! Coś dla Ciebie! Rozrywka, sensacja, humor, erotyka, akt, pozycje miłosne, porady i oferty towarzyskie, horoskopy, astrologia, magia, okultyzm, czary oraz konkursy z cennymi nagrodami. Wszystko w atrakcyjnej oprawie graficznej, druk offsetowy, fotografie, rysunki. A wszystko to znajdziesz w nowym miesięczniku Agencji GOLDMAR — „Horoskop". Szczegółowych informacji o zasadach prenumeraty udziela bezpłatnie Agencja „GOLDMAR" 45-076 Opole 1, skrytka pocztowa 14.

Op-105867(1)

● **MAYONES** — wytwarzanie gitar elektrycznych. Wykonujemy naprawy, wymianę progów, przetworników, lakierowanie. Informację wysyłamy. Zenon Dziewulski, 80-354 Gdańsk-Oliwa, ul. Ziemowita 11.

35031(1)

● **NOWOŚĆ! MIKSERY DYSKOTEKOWE** oparte na najnowszym modelu zachodnim, miksery do radiowęzłów oraz konsolety mikserskie dla estrady, studia, teatru, produkuje FONEX, Elbląg, Al. Odrodzenia 1a, tel. 448-01.

40779(1)

● **ORGANOWO-GITAROWY** efekt muzyczny typu Chorus-Katedra! z pogłosem, wykonuję na zamówienie. Cena 32.000 zł. Naprawa głośników — estradowe, kompakt i kopułkowe. 05—230 Kobyłka k/Warszawy, ul. Królewska 20.

40992(1)

● **ZAGRANICZNE** oferty matrymonialne paniom, panom poleca „WENUS", skr. 27, Świeradów.

41210(1)

● **THRASH METAL** — serwice. Paweł Kamiński, 99-300 Kutno, ul. Kąkoszyńska 68.

41217/0)

● **STOJAKI** pod syntezatory, futerały na instrumenty muzyczne poleca Pyrcz § Zwiech. 93-308 Łódź, Warneńczyka 13, 84-50-30, 86-08-04 (wieczorem).

41222(0)

● **FUTERAŁY** do instrumentów muzycznych poleca Kisielewski, 60-340 Poznań, ul. Sasankowa 17, tel. 481-034.

51101(1)

Warszawska grupa **TRYBUNA BRUDU** powstała w październiku 1985 roku i do chwili obecnej gra w niezmienionym składzie: Kwiatek (gitara), Zbyszek (perkusja), Rudy (bas) i Jacek (śpiew). Z wokalistą zespołu rozmawia **Tomasz Ryłko.**

NON STOP: Ostatnio sporo koncertowaliście w kraju i za granicą. Jakie wrażenia, opinie?

Jacek: *Nie udzielam wywiadów.*

„PARADA"

Po parapetach domów bez okien stąpają cicho szczury
Przed uśmiechami ludzi pokoju, pękają z hukiem mury
Spójrz, Pan Prezydent rękę ci poda, miękką, ciepłą rękę nieroba
Pamiętaj o kolejnych wyborach, pamiętaj o nim w kolejnych wyborach
Spójrz, na ekranie ręka Papieża błogosławi tysiące zabitych
Przez cały czas, terroryści i żołnierze, dowożą ze wszystkich miast, frontów, uśmiechnięte i jeszcze ciepłe ciała.

„DLA"

Ciężko, miarowo, z mozołem, dalej
Człowieku buduj swe jutro wspaniałe
Twoja ojczyzna, twoja rodzina, cywilizacja do czynu wzywa
Popatrz po śniegu i lodzie z mozołem nasza drużyna
Na Pik Komunizma się wspina, po to by zejść po drugiej stronie

Ojczyzna, naród, wiara, kultura, twoje ideały
To tylko słowa pisane dużymi literami

Napinaj mięśnie, napinaj grzbiet, zaciskaj zęby, dalej
Do przodu aż wreszcie to skończy się
I będziesz wtedy czuł się wspaniale

„PGNM"

Wieczorami, gdy jesteś sam, gasisz światło i zamykasz drzwi,
aby nikt nie widział, że walczysz ze ścianami, po to
aby rano zbudzić się
Bez zdania, wielkie nic, zawsze do czegoś uśredniany
Ktoś mówi „tak", gdy wołasz „nie"
Twoje słowa tłumią kroki defilady

Jesteś nikim, to już wiesz. To samo powtarza się co dzień
Urodził się, uczył i zszedł, przeciętny obywatel
Osiem godzin, przeciętny dzień, przeciętny miesiąc, obiad, dom
Kolacja z żoną, przeciętny rok, przeciętne życie, krótka noc

Ci ludzie wokół, kim oni są? Dlaczego tak lubią maszerować?
Dlaczego chcą, abyś właśnie ty maszerował razem z nimi?
Co dzień gnojony, pałowany, w lustrze oglądasz twarz
Jak długo to jeszcze będzie trwało?
Nim staniesz się taki jak oni.

„CODZIENNIE RANO"

Codziennie rano nim wstaniesz, przetestuj się, aby nie popełnić błędów,
Nie pozwól wyrzucić się z gry toczonej wokół
Widzisz coś, czego nie rozumiesz i nie możesz zastanawiać się,
Czy schron to dobry dom

Demokracja wyłazi mi bokiem, propaganda wyżera mózg
Faceci broniący pokoju szczują gołębiami tłum
Wszyscy udają euforię, klaszczą w rytm padających ciał
A ja nie wiem, kto tu jest normalny — oni czy ja

A ja mam tego dość, tych trupów ubranych w medale
Czytanie haseł na plakatach, strachu przed własnym cieniem
A ja mam tego dość, tych trupów ubranych w medale
Codziennie nowych plakatów nalepianych na stare

„DEMONSTRACJA"

Przeciwko białym, którzy depczą czarnych butami
Przeciwko białym, którzy biją czarne dzieci
Przeciwko białym, którzy każą policji strzelać

Czy myślicie, że czarna policja z długimi białymi pałami
będzie biła was mniej?
Czy wierzycie tym, którzy mówią wam, że policja, którą oni
wam dadzą nie będzie miała białych pał?

Przeciw policji, która depcze ludzi butami
Przeciw policji, która strzela do dzieci
Przeciw policji, która jest ponad prawem

OZZY OSBOURNE

A TO JEGO ŻONA SHARON.
OZZY GRAŁ KIEDYŚ W ZESPOLE BLACK SABBATH. BARDZO DOBRY ZESPÓŁ. JUŻ GO NIE MA. TERAZ JEST OZZY

KUM-KUM.

OZZY WYSTĄPIŁ W MOSKWIE. 12 LUB 13 SIERPNIA. RAZEM Z NIM GRALI: BON JOVI, CINDERELLA, MÖTLEY CRÜE, SCORPIONS I INNI. DUŻY FESTIWAL. SZKODA, ŻE NIE W KATOWICACH.

TO JEST SYNEK - JACK.

GAZETA BILLBOARD POŚWIĘCIŁA OZZY'EMU PÓŁ NUMERU. TO OKOŁO 45 STRON. MOŻE TROCHĘ MNIEJ.

TE ZDJĘCIA WYCINAŁ: MAK.

motto: trzydzieści lat żyję w tym kraju i jestem normalny !!! z dowcipu Andrzeja Mleczki

Można opowiadać różne śmieszne historyjki. (To dlatego że piszecie do nas: *dawniej było w NS weselej. Teraz macie jakieś krzywe, cierpiące maski.*).

Na przykład jak w hotelu Jarota, w Jarocinie pewien Bardzo Ważny Redaktor spędził noc na sraczu. A potem napisał, że dwa pierwsze dni nie zachwyciły.

Trzeciego — przyjechała jego żona i musiał ograniczyć nadużywanie.

Albo jak jeden manager o dziwnym wyrazie oczu wezwał do warszawskiego klubu warszawskich redaktorów na konferencję prasową w poniedziałek, między niedzielą a świętem — *najdłuższy weekend w roku a po nim strajki*, mówili w TV. I redaktorzy przyszli. Dwóch. Były dwa zespoły, to najpierw jeden odpytał jednych, a drugi drugich, a potem się zamienili.

Ciekawe, czy tekstami też się pozamieniają.

Ale chyba nie, bo jeden wyznał, że nie słyszał zespołu, za to słyszał o nim wiele dobrego.

Wolność, równość, ekonomia.

Nasze pogo.

Widzicie, wiele jest śmiesznych historii. Mówią nam na przykład, musicie znów zacząć drukować górników, bo nie ma dochodu. Znaczy: oni nie mają pieniędzy na swoje pisma, ordery, samochody i ideolo. Więc my musimy zacząć drukować górników.

Górnik ma pieniądze, kupi naszą wolność. Trochę górnika i trochę Sex Pistols. Demokracja.

Śmieszne, co.

Najśmieszniejsze, że my się jeszcze buntujemy. Prawie nas już nie ma, prawie wszyscy spacyfikowani (a jak nie, jak hardzi jeszcze — to paszport i na zmywak w Londynie. Zarobi trochę, się będzie bał stracić. A najgorsi i tak tam zostaną. My tu lubimy spokój. I żeby się Polak z Polakiem dogadywał, rozumicie. No!)

Można pisać śmieszne anegdotki. O takich, co robią i o takich, co biorą pieniądze. Wydrążeni ludzie.

Że się ta przyjaźń między narodami tak nam pokomplikowała.

I że coraz mniej do śmiechu, niektórym.

A kiedyś przywoziło się telewizory, dywany, złoto we wzmacniaczach. Albo — nagle nam ktoś na tejże trasie po Rosji — klawisz ukradł. Ot, tak, szutka chyba.

Zgłosiliśmy, protokół spisaliśmy.

A po powrocie szybko kupiliśmy nowy klawisz. Ciekawe, z jakich to pieniędzy zarobionych.

Na graniu w kraju pewnie.

Legalnie i uczciwie.

Jah rozumie.

Śmiesznie jest. Można pisać śmieszne donosy. Jeden, dwa dziennie. Albo i więcej. Do gazet.

Ale najlepiej siedzieć cicho. I (*chórem, wszyscy!*)

roobić swoooje!

I tylko szkoda, że ten NON STOP już nie taki śmieszny jak kiedyś. Trzeba coś poczytać, dla rozrywki.

Wszystkiego najlepszego.

Tak więc można pisać wesołe historyjki. Jak poważny pan redaktor w poważnym miesięczniku napisał, że koncert nie był porywający, a rzeczywiście nie był. Tylko, że jego trudno było porwać, bo cały czas spał.

Zmęczył się biedaczek.

Szkoda tylko, że wszyscy to widzieli. Bo siedział w Operze Leśnej. Jest dużo wesołych opowieści. Cały krajowy szołbiznes to jeden wielki śmiech.

Tylko: po co?

Wy im (powinienem napisać: nam, ale się brzydzę) wierzycie. Z ich ust spijacie nektar prawdy.

A oni wam sprzedają tanie wino.

Można pisać wesołe historyjki. O facetach z potwornymi problemami, którym śni się władza, choćby taka mała (?) jak ta, którą daje rokendroll. O gościach, którzy są szczęśliwi, gdy mogą mówić do mikrofonu: *za chwilę przerwiemy koncert. Nie jesteśmy tu po to, aby się zabijać. Uspokójcie się.*

A w duszy czekają tylko, co się zacznie dymić.

Strażacy je...i.

(Nie wolno nam używać brzydkich wyrazów, czytają nas też dzieci oficjeli z SD, co z tego, że to my ich podtrzymujemy, oni tak chcą. Poza tym — możemy pisać o wszystkim. Nawet o Solidarności).

Solidarność przewodnią siłą narodu.

Za to jacy eleganccy.

Można też i o muzykach. O takich, co ledwo grać się nauczyli, a już mają dobre bębny. I wynajmują te bębny na festiwalu w Jarocinie. Za — powiedzmy *xyz* złotych. A jak już te bębny przywiozą, mówią, że ich nie rozstawią, dopóki nie dostaną sumy dwa razy większej. I dostają skurczybyki, bo nie ma wyboru.

Tu nie ma wyboru.

Opinia? Nie bądźcie śmieszni, klient zaraz pojedzie do dubaju, gangesu i bangladeszu, na wojenny trałowiec wożący pijanych Szwedów wte i wewte. I swoje zarobi. I ma gdzieś waszą opinię. Papier to papier, złotówka to złotówka.

I mówicie, że dawniej było weselej.

Różne są powody do śmiechu. Jeden muzyk powiedział nam ostatnio, że on się utrzymuje z babcią — za 40 tys. zł. Chce grać, świrus, to niech nie je. Zaśmieliśmy się oczywiście.

Tylko jakoś dziwnie się zrobiło *potem*.

Bo może on tak naprawdę?

A my — szołbiznes zasmarkany, toniemy wprost w szampanie i kawiorze. Jak kto jest dostatecznie stary i zasłużony, żeby jeździć na trasy po ZSRR.

Tam to jest dopiero wesoło.

Choćby wtedy, gdy chce się poderwać kobietkę, a ona ma kolegów. A koledzy też się chcą zabawić.

I wracamy z gębą zadrutowaną. Śmiesznie jakoś, a też jakoś smutno.

(A co tu robi **AYA RL?** Czy to jakaś aluzja? Czy to może któryś z nich te klawisze...?

Otóż nie.

AYA jest tu, bo to bardzo dobre zdjęcie. A ta strona drukuje się w kolorze. I zespół fajny).

Nie wszystkie strony świata jednakowo kolorowe.

Poza tym: wszelkie podobieństwo osób i sytuacji... I tak dalej. To z ostrożności. Żebym mógł się jeszcze trochę pośmiać.

I jeszcze jedno: nie wysyłajcie listów, że numer, co to go Łobodziński i Makowski sami zrobili smutny jest i nudny. My to wiemy. I wiemy też — dlaczego.

Ale z tego pośmiejemy się kiedy indziej.

Krajowa scena młodzieżowa, psia krew. Już mi to wszystko bokiem wychodzi. I rzygać się chce.

Przepraszam. Rzygać też brzydki wyraz.

Rz...ć się chce.

Tak lepiej.

MMAK. (połowa sierpnia.

To też zresztą śmieszne bardzo. Wacławiak swą recenzję dla Kerranga napisał jednego dnia, drugiego przepisał a trzeciego już mu wydrukowali. I już było w kioskach.

Śmieszne).

balanga

(i jeśli ona nie zadowoli wszystkich
to ja już nic nie rozumiem mak.)

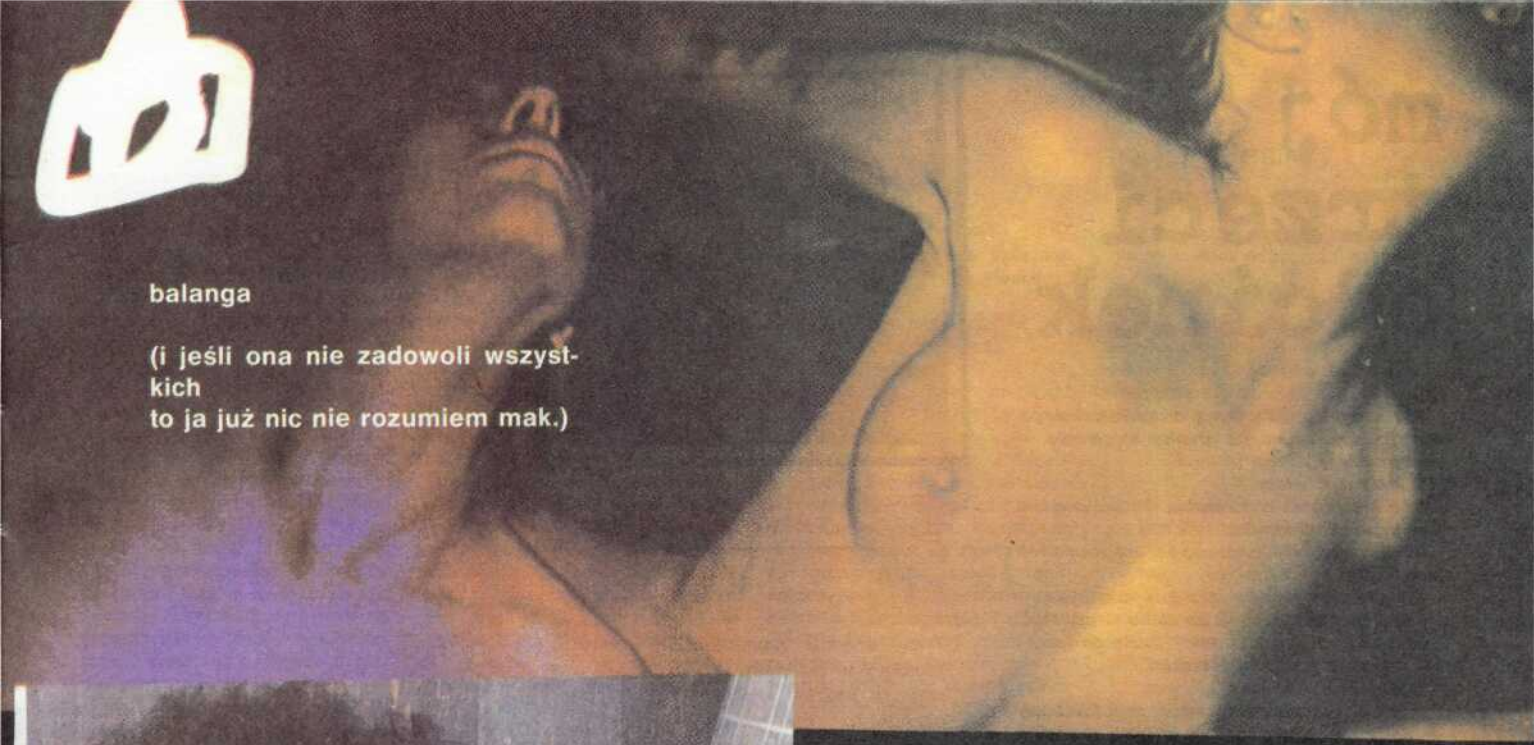

NEIL ZLOZOWER

Joe Satriani

"Satriani is the savior of instumental rock and is one of this decade's most creative guitarists."

MUSICIAN MAGAZINE

A to Alicja
w Krainie
czarów.

mój trzeci odcinek

(chamstwo, odcinek 3)

Nie kupuj ani kawałka z drutu kolczastego, który postawili nam na granicy węgiersko — austriackiej.

A teraz demontują.

I chcą jeszcze na tym zarobić. To oni powinni nam zapłacić za ten drut.

To oni wymyślili granice. To oni zbudowali Mur.

Wszystko to prawda. Ale gdy krzyczysz — jankesi do domu, sowieci do domu — czy myślisz, jaki jest ten ICH dom? Gdzie on jest? i czy chciałbyś ich tam odwiedzić?

Myślę, że nie myślisz.

I wiem — te mury, te granice, drut kolczasty — najpierw są w nas. Oni je tylko realizują. Materializują naszą słabość. Nasze lęki. Nietolerancję, nienawiść. Strach przed

obcym
nowym
innym.

Proszę cię, jeśli chcesz mieć tu Stinga, U 2 czy Kiura, nie kupuj tego drutu. Jeśli chcesz tu normalnie żyć — też nie. Ale jeśli chcesz stać w ohydnych, poniżających kolejkach pod ambasadami, po to tylko, aby w RFN zmywać naczynia, czy w USA zamiatać ulice — kup kawałek kolczastego drutu. Z granicy austriacko — węgierskiej czy szwedzko — chińskiej. Jakiejkolwiek.

Oni się wzbogacą. I znów postawią nowy Mur. Jeszcze wyższy, jeszcze straszniejszy.

MMAK.

MICHELLE SHOCKED POD PEWNYM ZNANYM ZABYTKIEM ARCHITEKTONICZNYM.

Darku!

Twój artykuł (recenzja z koncertu Moskwy w Gdańsku — NS nr 5,89) to coś na kształt krucjaty wymierzonej przeciwko marazmowi gdańskiego środowiska. Ja jednak boję się, że to jest nie tylko gdański syndrom, tych kilku pijanych kolesi i rozegzaltowane panienki.

Mimo wszystko dziękuję.

Basia

PS. Na tym koncercie czegoś brakowało. Może McLarena? Może.

= 58,6 D

Jedną z przyczyn, dla której jestem tak bardzo przeciw braniu narkotyków, jest fakt, iż łatwo ulegam. Całkowita abstynencja to dla mnie jedyna droga.

SUSANNAH HOFFS (The Bangles)

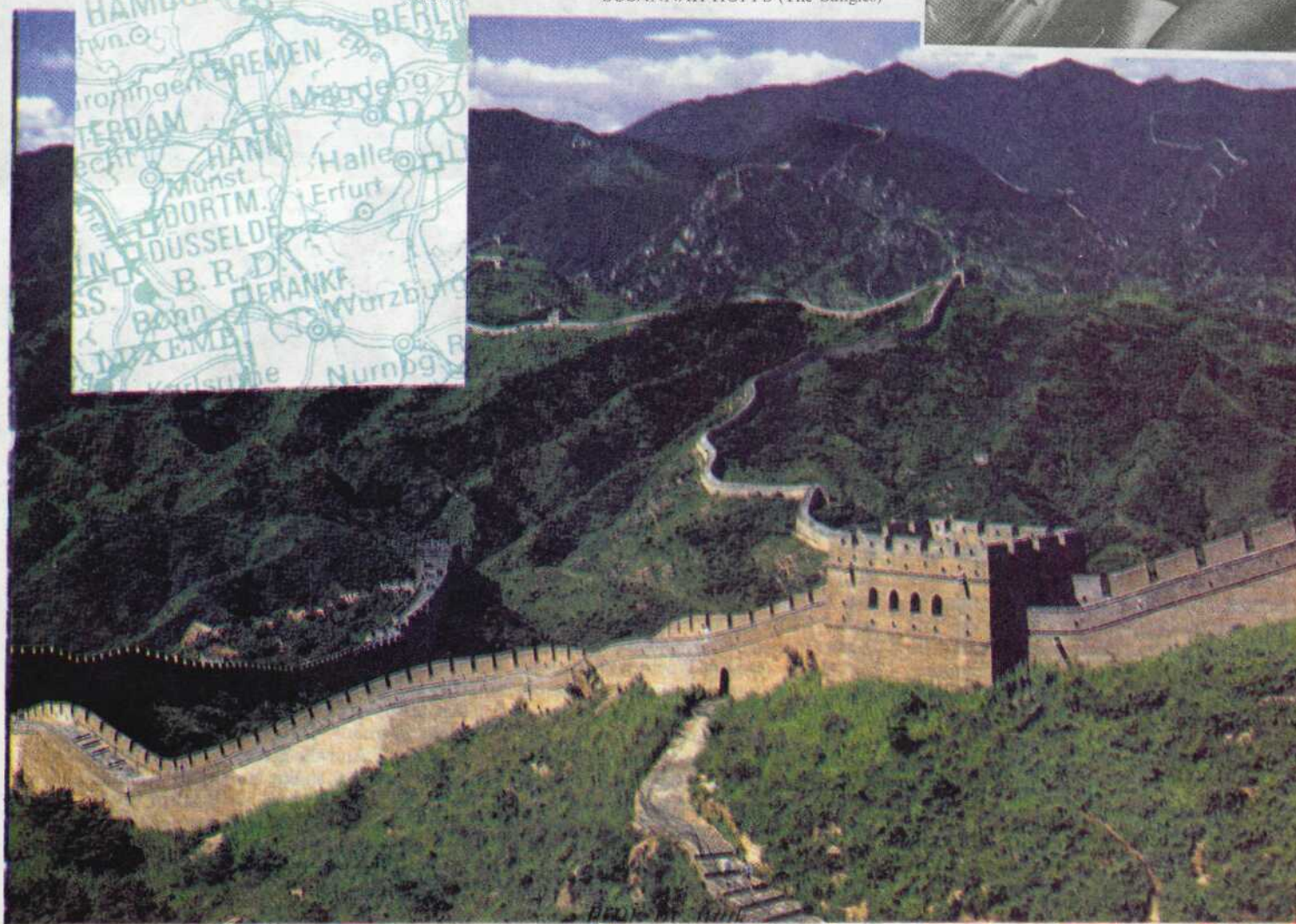

Z KRAJU

...imprezy...

● Pomysł był wyborny. Oto w Zakopanem łódzka firma Uni Art powołała do życia wakacyjną imprezę **Rock Na Równi,** polegającą na odbywających się pod rozpiętym namiotem koncertach, a po nich dyskotekach. Zdążyli zagrać Kobranocka, Chłopcy z Placu Broni, De Mono i Moskwa, już nie zdążyli wystąpić Reds i Ziyo, bowiem pewien mecenas z sąsiedztwa narobił takiego rabanu (hałas młodych miał zagłuszać ciszę wieczorną), iż Rock Na Równi przerwano. Uni Art (by być szczerym trzeba zaznaczyć, że zespoły narzekały na marną organizację — brak możliwości prób i godziwego miejsca noclegu, nieporozumienia finansowe) nosiło się z zamiarem wynajęcia mecenasa — rzecz jasna innego — i oddania sprawy do sądu, gdyż poniosło spore straty moralne i materialne. Bardzo szkoda tej imprezy. ● Powstał pomysł **Festiwalu Wizualnych Realizacji Okołomuzycznych.** FWRO — rzecz odbędzie się w dniach 4–10 XII we wrocławskich galeriach, kinach, salach koncertowych i teatralnych — w całości poświęcone jest związkom obrazu (filmowego, video, komputerowego) z muzyką. Impreza wchodzi w miejsce Jazz Film Saloonu. *Nerwem ma być konkurs. Jest on otwarty dla wszystkich, ale liczymy przede wszystkim na półprofesjonalistów — studentów szkół artystycznych, rozmaite grupy i ośrodki twórcze czy wreszcie firmy weselnego videofilmowania, dla których idea festiwalu może stanowić twórcze wyzwanie. Ambicją naszego festiwalu jest też przyciągnięcie amatorów. Zakładamy, że wraz z postępującą dostępnością sprzętu video wzrastają apetyty artystyczne jego użytkowników — wszak video nie musi być tylko środkiem zaspokajania potrzeb konsumpcyjnych treściami kultury masowej. Licząc się z możliwością występowania barier technicznych przewidujemy uruchomienie warsztatów (konsultacji) we wrocławskiej WFF. Atrakcyjność FWRO podnieść mają imprezy towarzyszące — przegląd filmów muzycznych (przygotowany wespół z ambasadami), witryna video, koncerty, performances, wystawy. Liczba prac na konkurs nie jest limitowana, a termin ich nadsyłania mija 20 listopada br* (czy NS zdąży z tą informacją?). *Po zakończeniu festiwalu prace zostaną zwrócone nadawcom. Konkurs Główny polega na realizacji dowolną techniką filmu do jednej z tych kompozycji — „Świątyni" Lecha Janerki, „Harmonia Viva" Waldemara Wróblewskiego i „Ballady dla Bernta" Krzysztofa Komedy. Kompozycja w całości ma stanowić ścieżkę dźwiękową filmu — materiały nieautorskie dopuszcza się wyłącznie w formie krótkich wstawek. Jest jeszcze Konkurs Na Scenariusz, którego zadaniem jest przedstawienie oryginalnego scenariusza inspirowanego jedną z wymienionych wyżej kompozycji. Scenariusze wytypowane przez jury zostaną skierowane do realizacji na koszt organizatorów, z tym tylko, że tutaj termin nadsyłania prac mija* (minął?!) *15 października. Egzemplarze prosimy nadsyłać w trzech kopiach.* Wrocław, FWRO, skr. poczt. 1385, tel. 44-24-10, 375-49. ● **Rock Meeting** 18–19 XI w Rzeszowie (tel. 58-101, 58-343). Zgłoszenia (kaseta) do końca października. Łączna pula nagród 250 tys. ● O pierwszym ze swoich pomysłów opowiada Walter Chełstowski: *Z formalnego punktu widzenia jest to długofalowe porozumienie z Jurkiem Owsiakiem. Rzecz nazywa się* ***Zjednoczone Słonie.*** *ZS to pomysł organizacyjny, który ma rozwinąć to, co Jurek zrobił w TPChR podczas Letniej Zadymy W Środku Zimy. Plan stanowią koncerty w halach promujące kapele i pomysły artystyczne. Są cztery stałe zespoły — Voo Voo, Aya RL, De Mono i Czad Komando Tilt, które zostaną uzupełnione m.in. przez takie grupy, jak Closterkeller, Opozycja, Proletaryat czy Obstawa Prezydenta.* ●

...fonografia...

● Chełstowski ciągnie opowieść, jednak teraz rzecz dotyczy jego pomysłu nr dwa: *Andrzej Puczyński, Igor Czerniawski i ja powołaliśmy Fonograficzną Grupę Twórczą* ***Wisła,*** *czyli jakby połączyły się studia Andrzeja i moje. Mamy zamiar nagrywać miesięcznie dwie płyty najbardziej obiecujących kapel polskiego rynku muzycznego.* Przypomnijmy, że ludzie ci fundowali prywatne nagrody w Jarocinie. Na razie w jeszcze oddzielonych studiach nagranie longów ukończyli **Furmanka** Jacka Pałuchy (CCS Chełstowskiego) i **Proletaryat** (Izabelin Puczyńskiego). ●

● Jakiś czas temu wydrukowaliśmy zestaw tytułów tych płyt licencyjnych wydawanych w krajach naszego obozu, które to płyty w różny sposób można było kupić w tym roku kalendarzowym. Dzisiaj, korzystając z odrobiny wolnego miejsca i swoistego kontekstu poniżej, dane uzupełniamy. CSRS: **„Into The Light" Chrisa De Burgha.** Węgry: **„Scoundrei Days" A-ha, „Faith" George'a Michaela, „Bad" Michaela Jacksona, „You Can Dance" Madonny, „...Nothing Like The Sun" Stinga.** Bułgaria: **„Last In The Line" Dio, „Whitesnake" Whitesnake.** ZSRR: **„Liverpool" Frankie Goes To Hollywood, „The Long Play" Sandry, „Gaudi" Alan Parsons Project,** składanki **Alan Parsons i Rainbow.** O emisji „Slowhand" Claptona już wspominaliśmy, ale jeszcze nie wiedzieliśmy, że cenzura wywaliła „Cocaine"... NRD: **„Tutu" Milesa Davisa,** składanki **B.B Kinga, Johna Lee Hookera** i **Muddy Watersa.** ●

...nasi za granicą...

● Oto fragmenty niedawno przez nas otrzymanego pouczającego listu: *Tylko niektórymi naszymi licencjami — np. Prince'm — można handlować z sąsiadami z południa, ze wschodu i z zachodu. Ale co gorsza, handlujemy nie tym towarem co trzeba. Mimo że robimy sobie wrogów, dalej sprzedajemy w Czechosłowacji polskich Floydów po... 120 koron! Za 120 koron mamy znakomicie nagraną czeską licencję, np. Van Halena „5150". Za dziesięć licencji naszych mamy 1200 koron, a za dwadzieścia lub trzydzieści... To „czysty" business! Pieprzyć to przykazanie na obwolucie — „Sprzedaż płyty poza Polską zabroniona" — bowiem ci co nie mają upośledzonego słuchu udają, że mają upośledzony wzrok i wciskają Czechom i N-Rdowcom, a tamci udają, że też mają zepsuty wzrok i biorą (bynajmniej nie hurtem) tyle, ile leci. A potem na pewno szukają młotka i gwoździ. Mimo że u Ruskich licencje płytowe sypią się jak świeże bułeczki do kosza, to również od nas kupują to, czego u nich pieriestrojka nie wdrożyła do sprzedaży... A polska licencja osiąga cenę 5 rubli! I to dlatego, że obwoluta nie jest zabrudzona literami ojczystymi naszych wschodnich sąsiadów. Podobno w NRD poznali się już na naszym Stingu. I gdy tylko Niemcy zobaczą Polaków z płytami, to biorą młotki. Na co? A na to, że za każdą polską licencję płytową importujemy jednego guza na głowie. Węgrzy są bardziej szczwani. Zabierają Polaka na ochlaj, a potem na milicję, gdzie czeka już tłumacz, a potem recytuje z towaru znane nam przykazanie. Grzywna jest tak pierońsko zajebista, że Węgry jako rynek zbytu jest już odstrzelony w próżnię. Ale są wśród naszych takie magiki, co zaklejają paskami nalepek z gwiazdkami, kupionymi w sklepach samochodowych za 25 zł. Jeden pasek wystarczy, aby pozytywnie załatwić cztery longi. Nasze licencje biorą ponadto Bułgarzy i Jugole, ale Rumuni już nie! Ci ostatni to są mądrale zakichane! Kupują od nas makaron, margarynę, dżem, a płyt ani rusz! Wolą pojeść niż ogłupieć.* Nie drukujemy ani nazwiska autora, ani komentarza, bo po co? ●

● Ruch w interesie — **Lombard** w **USA, Bajm** we **Włoszech, Papa Dance** w **NRD** (Rostock). ● A teraz do **Berlina Zach.,** gdzie na ulicach i w prowadzonym przez Murzyna z Missisipi bluesowym klubie Blues Cafe wraz z Maciejem Guzowskim (hca) występował Streetbluesowiec **Tomasz Dziano.** W Berlinie ci dżentelmeni byli przez miesiąc, uzyskali zaproszenie na kolejny pobyt, „zamiarują" też wyjechać do RFN. O Street Bluesie czytaj w Konstelacjach. ● W tym samym mieście przebywa borykający się z kręgosłupem (skok w zbyt płytką wodę) **Maciej Pietracho.** Mamy nadzieję, że już pozbył się gorsetu. ●

...kronika towarzyska...

● I znów BZ, gdzie mieszkająca tam **Elżbieta Mielczarek** pojęła za męża Hindusa nazwiskiem Pathak. Oprócz tego Mielczarek-Pathak prywatnie maluje i wykonuje muzykę zbliżoną do Cabaret Voltaire, a także zajmuje się religią tybetańską. ●

...konstelacje...

● Jajo w majonezie! — tak można zakrzyknąć po przyswojeniu sobie informacji o współpracy basisty **Jajco** z grupą **Reds** (Piotr Kokosiński oddalił się od zespołu). Przypomnijmy, że doboszem Czerwonych jest Mariusz Majewski — człowiek o pseudonimie „Majonez". ● **Street Blues** to łódzka kapela działająca w składzie Tomasz Dziano (voc, g) — Marek Sztendel (b) — Ryszard Idziak (dr). Zespół odbywał próby z sekcją dętą w postaci puzonu i saksofonu. ● **Open Fire** to śląska kapela (metalowa) po roszadach personalnych działająca w składzie Mariusz Sobiela (voc) — Robert Borowiecki (g) — Maciej Godzik (g) — Grzegorz Zarzycki (bg) — Wojciech Zabiłowicz (dr). Zespół pracował nad materiałem na swój drugi longplay. ● **YA** to inowrocławska kapela działająca w składzie Jacek Czerwiński (dr) — Jarosław Lewandowski (bg) — Maciej Liszkowski (g) — Remigiusz Juśkiewicz (kbds) — Bobby X (voc). Zespół — istniejący od kwietnia '88 — jest po wstępnych nagraniach w bydgoskiej rozgłośni PR. ● **Bizzar** to wałbrzyska kapela działająca w składzie Marcin Bogusz (g, voc) — Arnold „Brzoza" Brzozowski (bg) — Piotr Szerment (dr). Bardzo młodzi muzycy artystycznie powołują się na Kobranockę. ● Współpracę z **Dżemem** zakończył menażer Marcin Jacobson. ●

...z wizytą u nas...

● Grali w Polsce Szwajcarzy o nazwie The Silence Cries, uprawiający *melancholic punk.* ●

JAN SKARADZIŃSKI

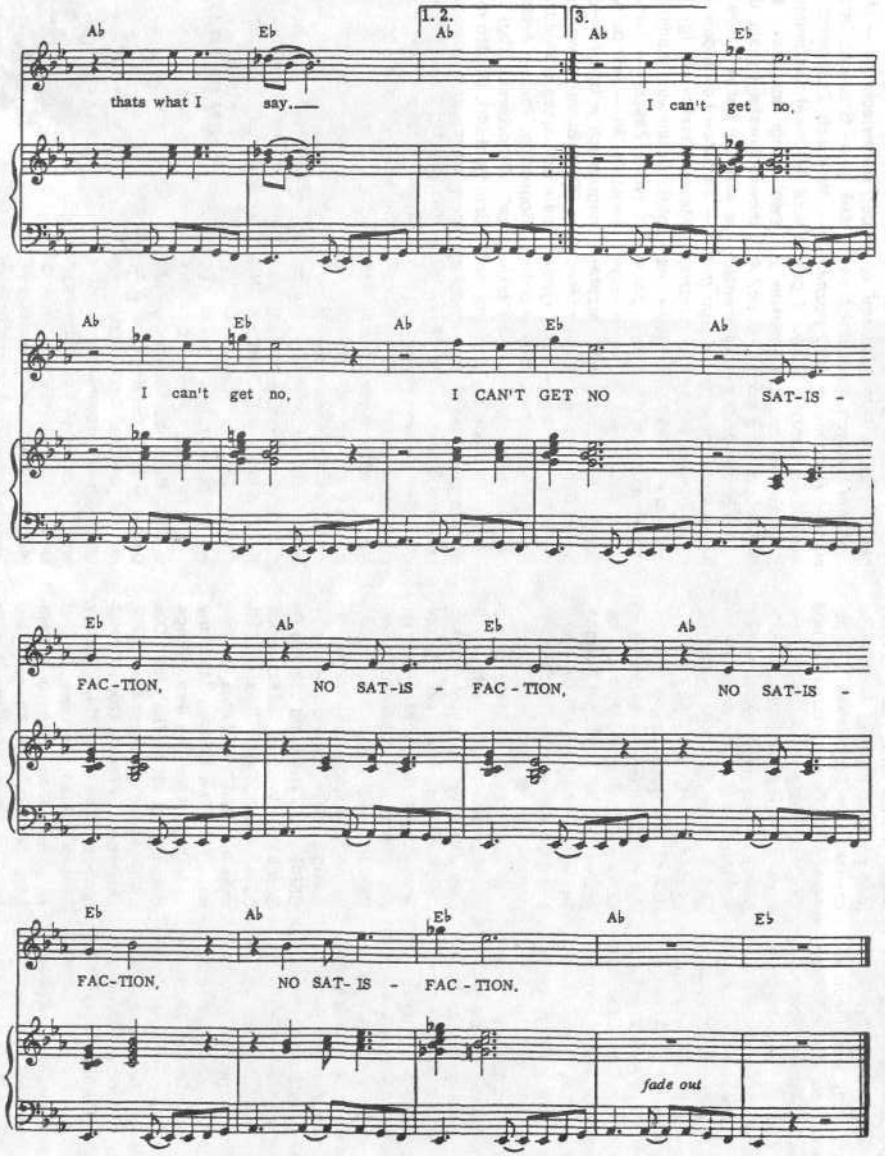
Ab
Eb
1. 2.
Ab
3.
Ab
Eb
thats what I say.
I can't get no,
I can't get no,
I CAN'T GET NO
SAT-IS -
FAC-TION,
NO SAT-IS - FAC-TION,
NO SAT-IS -
FAC-TION,
NO SAT-IS - FAC-TION.
fade out

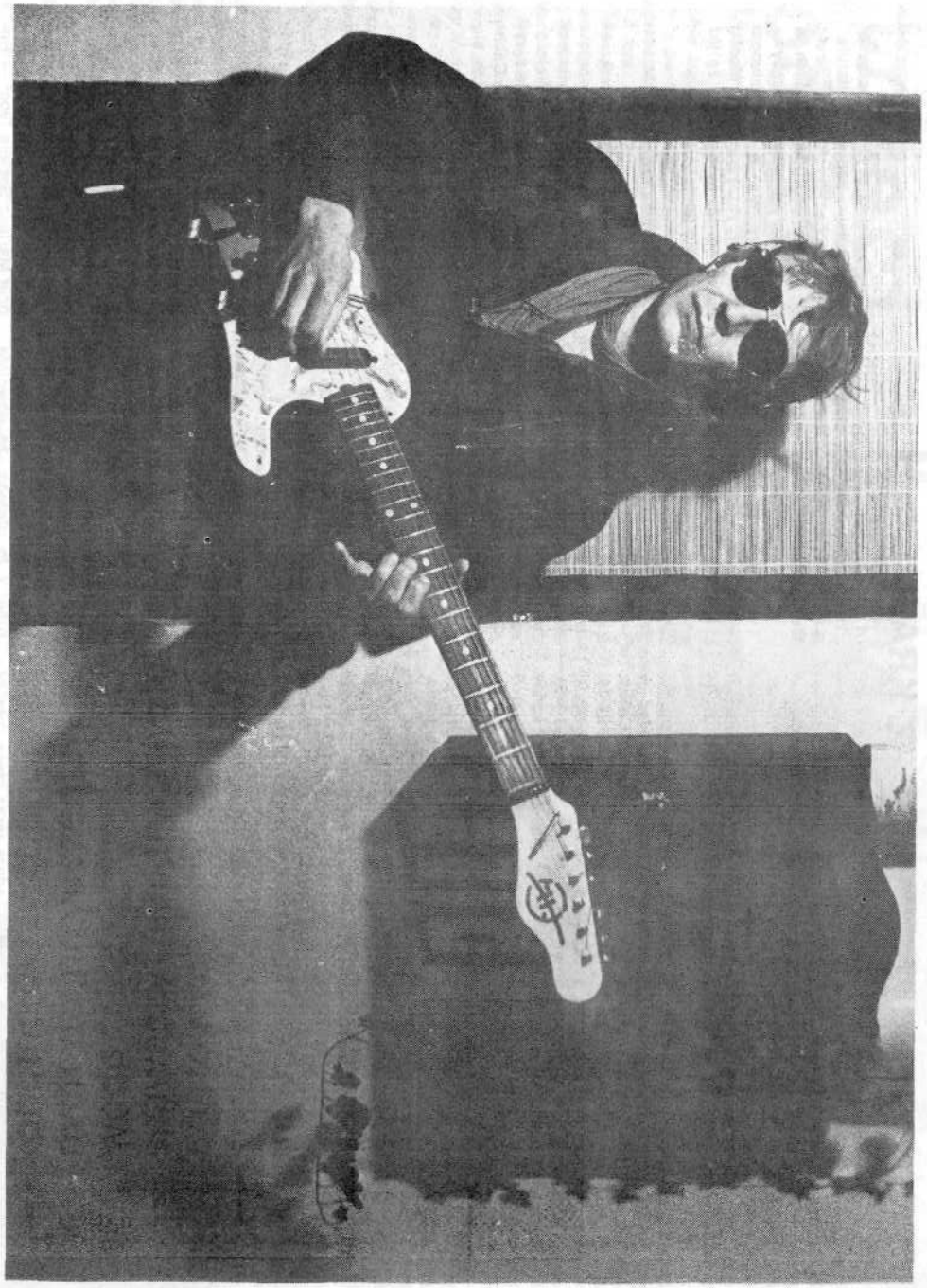

„Nagrałem tam własnym tekstem.....”

W porównaniu z muzyką literatura jest sztuką ścisłą. Zupełnie nie wiadomo, od ilu to słów wzwyż można tutaj mówić o plagiacie. Stąd też, o ile kopiowanie cudzych melodii jest sprawą ryzykowną, o tyle przyswojenie sobie czyjegoś tekstu — co najwyżej wstydliwą. Zjawisko plagiatu tekstowego praktycznie nie istnieje jako problem, bowiem z finansowego punktu widzenia jest to problem całkowicie akademicki. Tym śmielej więc wtrącam swoje trzy grosze wyciągając z rockowego archiwum kilka frapujących moim zdaniem przypadków.

Niezupełnie oryginalne brzmienie debiutanckiego longplaya Breakoutów musieli odnotować już współcześni. Co jednak zabawniejsze, w jeszcze wówczas ciepłe „Disraeli Gears” Creamów zasłuchał się nie tylko Nalepa, ale i Loebl. Tak się bowiem składa, że słowa *Przychodzisz do mnie nocą, gdy zapada zmrok* podane damskim, acz bardzo claptonowskim głosem, nieodparcie kojarzą mi się z takim oto fragmentem: *You're coming to me in the morning, leaving me at night.*

Weźmy się teraz z kolei za Paula Simona, który niemal słowo w słowo powtarza za Dylanem całe dwa zdania. Dylan: *If you're travelin'to the north country fair (...) remember me to the one who lives there, she once was a true love of mine;* Simon: *Are you going To Scarborough fair (...) remember me to one girl that's there, she once was a true love of mine.* Bardzo jednak możliwe, iż właśnie obaj cytują bez przypisu i cudzysłowu jakiś trzeci i pierwotny przekaz, coś, powiedzmy, z teki amerykańskiego Kolberga. Praktyka to zresztą nagminna w krajach, gdzie nie tylko płaci się tantiemy od aranżacji, ale wręcz ze[illegible]e z duchem rockowego przekazu utożsamia ją z autorstwem. Tradycja ludowa nie jest w USA osobą prawną i stąd nie może być stroną, toteż skrót-formułkę „trad. arr.” umieszcza się chyba głównie przez wzgląd na opinię środowiska. I tak na przykład Led Zeppelin nagrywając i sygnując własnymi nazwiskami „In My Time Of Dying” nie mieli tych skrupułów, co Bob Dylan na folkowym progu swej kariery rockowej. Tekst jest oczywiście w obu wypadkach identyczny.

Zresztą okazuje się, że metalowcy nie muszą wcale aż tak daleko sięgać, a przedmiot sporu może zostać w rodzinie. Jako przykład może służyć niemożność ustalenia autorstwa szlagwortu „Die By My Hand”, do którego przyznaje się Megadeth i pod którym podpisała się Metallica. Trochę to przypomina spór o prawo dysponowania „barankiem lawiny” (była kiedyś taka znana krakowska metafora).

Pewnych rzeczy zresztą w żaden sposób ominąć się nie da i raz na jakiś czas ktoś musi nazwać swoją piosenkę, powiedzmy, „Heartbreaker”... (sam znam cztery takie oryginalne kapele — Led Zeppelin, Grand Funk Railroad, Free i Rolling Stones). Ciekawe swoją drogą, jak też udało się to zarejestrować. U nas ZAiKS odmawia uznania już banalnym dubletom czy raczej bliźniaczkom (przepadek „Anny” Kosmowskiego). Chylę czoła przed taką czujnością, chciałbym jednak wiedzieć, czy i kto zgodził się zarejestrować piosenkę „Buenos Aires” sygnowaną przez małżeństwo Jackowskich. Jej tekst bowiem jest plagiatem wręcz rozbrajającym. Może już wszyscy wiedzą, a może i nie, w każdym razie istnieje taka książka argentyńskiego pisarza Eduardo Gudiño Kieffera „Żeby cię lepiej zjeść” wydana u nas w Krakowie w 1973. I właśnie tam (str. 121–130) Gladys del Carmen Latarullo Semiramis zabiera głos po raz pierwszy. Całe zdania i sam pomysł zwalone zostały bez krępacji i na dodatek w cudzym przekładzie. Przyznam się, że nie wiem, czy ktoś już robił z tego grandę. Na to wygląda, bowiem ów było nie było przebój dziwnie szybko zniknął z koncertowego repertuaru zespołu Maanam i nigdy nie był wznawiany w składankach. Żeby chociaż to ktoś inny dla Kory przepisał! Wówczas można by uznać finał filmu „To tylko rock” Karpińskiego za swego rodzaju scenę z kluczem. A tak to wyszło nawet głupiej niż z Elżbietą Dmoch, która na naszych uszach bez kompleksów złożyła do grobu samą Polę Negri.

Wcielenie się Kory w Syrenę Morza przypomina postać Mary z „Wet T-Shirt Nite” Zappy (1979). Z kolei jednak to właśnie „Buenos Aires” wydaje się pierwowzorem monologu słodkiej idiotki w „Valley Girl” (1981). W obu wypadkach o plagiacie chyba nie może być mowy. Ale też jest to okazja, by zapoznać się ze zjawiskiem rezonansu kształtotwórczego. Otóż kiedyś dawno temu płynąc na statku wielorybniczym, nomen omen, „Mayflower”, Bob Dylan wylądował na ziemi amerykańskiej. Gdy po szalonych perypetiach wreszcie się stamtąd — jak z chorego snu — wydostał, napotkał płynącego najspokojniej w świecie w przeciwną stronę Krzysztofa Kolumba („Bob Dylan's 115th Dream”). Rzecz w tym, że puenta tej historii wcale nie musiała się Dylanowi przyśnić. Może po prostu znał taki oto fragment poematu Franka O'Hary: „jestem jockeyem z wywichniętą dziurą w dupie jestem lekką mgłą w której ukazuje się twarz i jest to droga twarz blondynki jestem pawianem jedzącym banana jestem dyktatorem patrzącym na żonę jestem lekarzem (...) zjadającym dziecko i uśmiechniętą matką dziecka jestem Chińczykiem wspinającym się po górach jestem dzieckiem wąchającym bieliznę ojca jestem Indianinem śpiącym na skalpie a mój kucyk ciężko stąpa pośród brzóz, i właśnie spostrzegłem Niñę, Pintę i Santa Marię Co to za wolny krajˀ” („In Memory Of My Feelings”, przekł. Haliny Cieplińskiej, „Literatura na Świecie”, Nr 7/180/, 1986).

A może wcale nie trzeba się w tym wypadku odwoływać aż do hipotezy „przyczynowości formującej” R. Sheldrake'a (por. M. Iłowiecki. Najdziwniejszy pomysł stulecia, w: Z tamtej strony lustra, W-wa 1987). Może da się tę zbieżność podciągnąć pod „trad. arr.”, a flotę Kolumba uznać za wariant legendy o Rusie, Czechu i Lechu...

LESZEK KIENIEWICZ

wild oats

W Teksasie żałoba — oto kariera godnych następców ZZ Topów dobiegła końca, zanim jeszcze rozpoczęła się na dobre. Trudno w to uwierzyć, ale wieści dobiegające nas zza Wielkiej Wody niestety jednoznacznie wskazują na to, że **Wild Oats** przeszli do historii. Przez jakiś czas pocieszaliśmy się myślą, że to tylko trick reklamowy, ale daremnie.

Fakty są banalnie proste. W połowie lutego rozpoczęła się tura WO promująca debiutancki duży krążek *Cry And Crazy*, a przebiegająca przez południowe i zachodnie Stany. Wszystko układało się znakomicie, sale zapakowane po brzegi, recenzje entuzjastyczne... I nagle, tuż po występie w Winterland w San Francisco, liderujący teksańskiemu orkanowi **Dave King** oświadczył, że był to ostatni raz, gdy Wild Oats grają wspólnie, i odmawiając jakichkolwiek wyjaśnień spakował się i wyjechał z powrotem do rodzinnego Austin. Podobnie uczynili jego koledzy z kapeli. Jak oświadczył rzecznik firmy **North Sea Records**, z którą Wild Oats zawarli w zeszłym roku wieloletni kontrakt, decyzja zespołu nie była wcześniej znana wytwórni, która zamierza sądownie dochodzić swoich praw z tytułu strat finansowych.

Przez parę dni członkowie byłego tria uchylali się od wszelkich komentarzy. Brat Dave'a, **Mark King** (ten z Level 42) stwierdził, że o ile mu wiadomo, nie mogły w grę wchodzić kwestie materialne, bowiem wszyscy z Wild Oats pozostają ze sobą nadal w świetnych stosunkach. Dopiero w tydzień po fatalnej decyzji z 28 sierpnia zabrał głos najmłodszy z całej trójki, 17-letni gitarzysta **„Newt”**: *Wszystko od początku stało na głowie. Najpierw zaczęliśmy grać, potem podpisaliśmy ten zafajdany kontrakt, a dopiero później nagle zastanowiliśmy się nad całą aferą. I wtedy kapnęliśmy się, że grozi nam to samo, co spotkało Cream dwadzieścia lat przed nami: że zagubimy się w koncepcji i zeżremy nawzajem.* Na pytania, czy zamierza odnowić zawodową współpracę z Kingiem i Vinnie'm Tylerem w przyszłości oraz czy nagła decyzja ogłoszona właśnie w Winterland ma coś wspólnego z rozpadem Sex Pistols w tym samym miejscu, „Traszka” odparł lakonicznie: *Nie.*

Tym krótkim słowem zamknął się jeden z najbardziej obiecujących rozdziałów współczesnego amerykańskiego rock'n'rolla. Nam pozostaje westchnąć refrenem pierwszego przeboju Wild Oats: *„Dontcha Hurt My Feelings (So Bad)”* — Nie rań tak strasznie moich uczuć.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

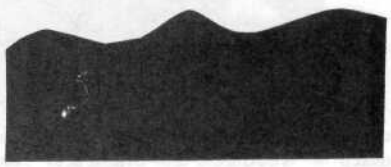

Nie zawodzę fanów Heartbreakers, którzy są z nami od początku, ale mimo wszystko miło jest mieć poczucie tego, iż są ludzie nie interesujący się naszą przeszłością. Oni nie muszą lubić nowych płyt tylko dlatego, że podobało im się kilka starych. Do diabła, przecież nawet ja nie lubię kilku swoich starych krążków.

TOM PETTY

list

To był mój ostatni Jarocin. 1981 rok. Przyjechało nas wtedy trzech: ja, Diabeł i skin Fetu. Fetu jechał przez całą Polskę, jego droga wiodła gdzieś z Południa przez Augustów, Szczecin i Wrocław. Właśnie we Wrocławiu stanął przed nami siedzącymi na poharatanej dworcowej ławce. Dobre pięć minut tak stał nic nie mówiąc, tylko kołysał się na krzywych nogach uzbrojonych w pancerne glany. Stał i patrzył na nas. Nie było to miłe spojrzenie, szare oczy wędrowały od lewej do prawej, w górę i w dół, jakby oglądały jakiś obrazek, a nie nas dwóch. Tego lata zaliczyliśmy z Diabłem parę eleganckich zadym, a mimo to poczuliśmy się dziwnie. Takiej mordy nie oglądało się wówczas zbyt często. Była szara i martwa, a jedynym żywym jej fragmentem były pulsary szczęk pracujące miarowo. Żuł. Gdy wypluł, pod nasze nogi potoczyła się wilgotna kulka gazowego papieru. Zrozumieliśmy. Diabeł wyciągnął rękę, w której było jeszcze pół gryza kajzerki z wyschniętym serem. Wziął.

Jadł siedząc koło nas, skubiąc zębami malutkie kęsy i każdy pieczołowicie rozpracowując przez minutę. Kiedy został mu w ręku ostatni skubak odezwał się nagle.

— *Gnoje jesteście. Pewnie turlacie się do Jarocina, obsrańce* — powiedział i włożył do ust ostatni strzęp gliniastej bułki.

Miałem wówczas dziewiętnaście lat i rozległą szramę na plecach od noża. Gdybym siedział tyłem do niego, musiałby zobaczyć jej wierną kopię na czarnej skórze, choć wtedy pewnie by pomyślał że sobie sam pociągnąłem żyletką dla szpanu. I byłby w błędzie.

Wolno odwróciłem głowę w jego stronę. Wielkie metalowe kółko w jego lewym uchu dyndało na wprost moich oczu.

— *Farbowańce....* — dokończył wbijając wzrok w brudną posadzkę dworcowego hallu.

Odwróciłem głowę w drugą stronę. Diabłowi rosły skrzydełka i dymiła aureola nad czubem, który mu sam dzisiaj stawiałem na cukier. Udawał że patrzy na przelatujące cyferki minut na tablicy odjazdów. Znałem go już dwa miesiące i nie spodziewałem się tego po nim. Ponownie spojrzałem w prawo.

— *Widzisz, łysy* — wycedziłem wolno — *jest w tym coś dziwnego, że niektórzy muszą cały łeb sobie ogolić na glacę, by ładnie wyglądać. Taka glaca jak twoja to idealne miejsce na postawienie klocka. Mogę ci to załatwić. Tu, na miejscu.*

Miałem na rękach pieszczochy, których zazdrościła mi cała Łódź. Palce mojej prawej ręki były nienaturalnie rozczapierzone z powodu trzech śrub od kaloryfera, które po rozpiłowaniu nasunąłem niczym pierścionki. Dla mnie były ze złota i czułem się z nimi bezpiecznie. Jednak nic nie nastąpiło. Skin wciąż patrzył pod nogi przełażących przed nami pasażerów z tobołami i tylko jego pulsary wznowiły pracę.

— *Tu, malutki?* — syknął — *A to fe...*

Spojrzałem na Diabła. Na czole miał krople święconej wody. Zadysponowałem swojej twarzy minę tak spokojną, na jaką mnie tylko było stać.

— *Widzisz, Diabeł* — wyrecytowałem miarowo — *te-mu-pa-nu-fe-tu.*

— *Fe tu* — powtórzył bezmyślnie Diabeł.

— *Tak. Fe tu!* — powiedziałem głośniej, a Diabeł zawtórował mi niczym echo.

Pochyliłem się w stronę skina i szepnąłem: *Fe-tu... Diabeł powtórzył. I tak zaczęliśmy wyrzucać z siebie na przemian owe „f", raz warcząc, raz skamląc niczym płaczące dziecko by z kolei wykrzyknąć je na cały dworzec. Przyspieszaliśmy w tym skandowaniu na przemian aż do jakiegoś obłędnego tempa, pomagając sobie klaskaniem w dłonie. Wreszcie poderwało nas na nogi i wrzeszcząc „fe-tu!" zaczęliśmy na środku hallu tańczyć szalone pogo. Kątem oka dostrzegłem, że skin patrzy na nas ze zdumieniem. Innych ludzi nie widziałem, choć chyba ktoś pierzchnął do wyjścia, a reszta poruszała się szybko, jak w niemym filmie.*

I nagle zerwał się z ławki i zakotłował z nami. Było to pogo, jakiego jeszcze nie znałem. Uderzaliśmy z całej siły jeden o drugiego, wpadając w sztalugi z rozkładami jazdy, w porozstawiane walizki i waląc się na posadzkę. Było cudownie, byliśmy wolni. Nie wiem ile to mogło trwać, ale na ławkę padliśmy skonani. Nie był to czas interwencji MO, nic nam nie groziło. Śmialiśmy się na głos jeszcze przez długi czas.

Do Jarocina jechaliśmy trzema pociągami. Były dwie poważne obławy kanarów i trzeba było zrywać się na jakichś małych stacyjkach. Na jednej z nich tuż obok peronu stała wielka rura do tankowania wody w lokomotywy. Ludzie Żelaznej Drogi zapomnieli zakręcić kurka i niagara lała się bez przerwy. Fetu rozebrał się do naga i wskoczył pod lawinę lodowatej wody. Nie robił nic takiego, co można nazwać myciem, tylko stał, jakby woda sama miała mu się wedrzeć pod pachy. Zawiadowca stacji, który z nudów nie wrócił do swojej komórki i siedział na peronowej ławce, zainteresował się nagle konstrukcją lizaka. Żeby lepiej widzieć odwrócił się tyłem do Fetu, po czym podniósł się i wolno poczłapał do biura. Wyglądało na to, że nawet pociąg skręci, żeby tylko nie mieć z Fetu do czynienia. Na szczęście nic nie nadjechało i skin wylazł spod strumienia bez kolejnej zadymy.

Sam Jarocin pamiętam tylko z jednego powodu. Wygrało to pacyfiaste TSA. Na finał przynieśliśmy torebki po mleku pełne piachu i kamieni, by było czym bombardować scenę podczas ich występu. Jak tylko zaczęli zamachnąłem się potężnie i kiedy już miałem rzucić swoją pigułą, Fetu złapał mnie za rękę. Piach i cała ta reszta sypnęła mi na głowę. Dostałem szału. Chciałem go lutować, ale Fetu odwrócił się, przecisnął przez tłum i zniknął. Popsuł wszystko.

Zobaczyłem go jeszcze raz na tyłach amfiteatru. Słynna kompozytorka zajechała właśnie polonezem i taszczyła z bagażnika talerze ze schabowymi i frytkami. Chciała nakarmić gwiazdy. Fetu zatoczył łuk i wpadł na nią. Szamka spadła z fajansu na ziemię, a Fetu schylił się, podniósł jednego kotleta i zniknął między drzewami. Następnego dnia nie spotkałem go już. Nie spotkałem go nigdy więcej.

W październiku udałem się do wojska i cały stan wojenny, z dwutygodniową nawiązką, spędziłem w mundurku. Nie chcę tego wspominać. Diabeł zdążył wyjechać do Austrii, z przesłanej do mnie kartki wiem, że się tam ożenił i jest kucharzem we włoskiej pizzerii. Zastanawiam się, czy łatwo mu przyszło spłaszczenie czuba, założenie białego fartucha i udawanie Italiańca wśród innych zrzutów z całego świata.

A ja? Cóż... Piszę ten list na nowiutkiej IBM-ce, co pewnie poznaliście po czcionce. Trudno w to uwierzyć, ale jestem chyba najmłodszym dyrektorem handlowym ze wszystkich, jacy pracują w polonijnych firmach. Mam trzyletnią córkę, fajną żonę, trzyletniego passata.

Ciekaw jestem kim jest teraz Fetu. Bo przecież kimś być musi. Może czytuje NON STOP, tak jak ja, i może się po tym liście do Was odezwie. Dajcie mi wówczas znać.

SZCZUREK

(nazwisko i adres znane redakcji)

★ ★ ★

Na stacji w Krzyżu, w drodze na **Reggae w Gorzowie**, spotkałem jednego z najstarszych hippisów w Polsce. Mówią na niego Rysiu. Wychudzony, brudny. Wygrzewa się w słońcu oparty o ścianę budynku stacyjnego. Jego postrzępione tenisówki i dżinsy zdychają wraz z nim. Pyta, czy mam jakieś kanapki. Dziwne, mimo 38 lat jeszcze nie łysieje. Długie, tłuste włosy, jak u Winnetou, który dawno nie kąpał się w potoku. Koncertowe podróże zaczął w wieku lat 16-tu. Pamięta prawie wszystkie Wielkopolskie Rytmy Młodych. Twierdzi, że hippisem się urodził, będzie nim zawsze, włosów nigdy nie zetnie.

Jedna z bohaterek „Sieci" Chayfsky'ego: *Człowieku, należę do generacji hippiesowskiej. Boże, jacy byliśmy głupi, jak oszukiwaliśmy siebie i wszystkich dookoła. Gdy byłam na pierwszym roku w college'u, żyłam w komunie, brałam codziennie narkotyki, zostałam członkiem czterech radykalnych ugrupowań i pieprzyłam się na twardej drewnianej podłodze, z kim popadło, przy akompaniamencie hinduskich pieśni.*

LESZEK KUNDA

Dodatek „Tygodnika Demokratycznego",

00-018 Warszawa, ul. Hibnera 11, tel. 27-80-81 w. 48, telex: „Kurier Polski" 814725. Wydawnictwo „EPOKA". **Redaktor magazynu — ZBIGNIEW HOLDYS, sekretarz redakcji — WOJCIECH SOPOREK** oraz **zespół:** JERZY BOJANOWICZ, SŁAWOMIR GOŁASZEWSKI, FILIP ŁOBODZIŃSKI, MIROSŁAW MAKOWSKI, JAN SKARADZIŃSKI, KRZYSZTOF WACŁAWIAK. **Stali współpracownicy:** PIOTR BRATKOWSKI, WŁODZIMIERZ KLESZCZ, REMEK KWIATKOWSKI, TOMASZ PIWOWAREK (Kanada), MIRAS SOLIWODA, WIESŁAW WEISS. Opracowanie techniczne — KONRAD KLEE, korekta — ELŻBIETA SOSNOWSKA, ZUZANNA WINNICKA. Redakcja czynna od poniedziałku do piątku w godz. 9³⁰–14³⁰ lub dłużej jeśli trzeba.

Biuro Ogłoszeń: Warszawa, ul. Szpitalna 8, tel. 27-50-40, 27-50-49; Targowa 58, tel. 19-29-49; Włocławek, ul. Świdnicka 36, tel. 355-69; Kraków, ul. Batorego 14, tel. 33-57-01; Poznań, ul. Libelta 26, tel. 52-05-35, Szczecin, al. Wojska Polskiego 68, tel. 271-36; Katowice, ul. Słowackiego 16, tel. 53-70-81 (2) wewn. 9; Gdańsk, ul. Grunwaldzka 76/78, tel. 41-63-38; Lublin, ul. Rynek 18, tel. 289-14. **Cena ogłoszeń:** tekst — 1 słowo — 120 zł, wymiarowe — 1 cm kw. — 200 zł. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Nie zamówionych rękopisów nie zwracamy. SKŁAD I DRUK: Zakłady Graficzne RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH" Dom Słowa Polskiego INDEKS 36701.

Zam. 2479/CD. U-31

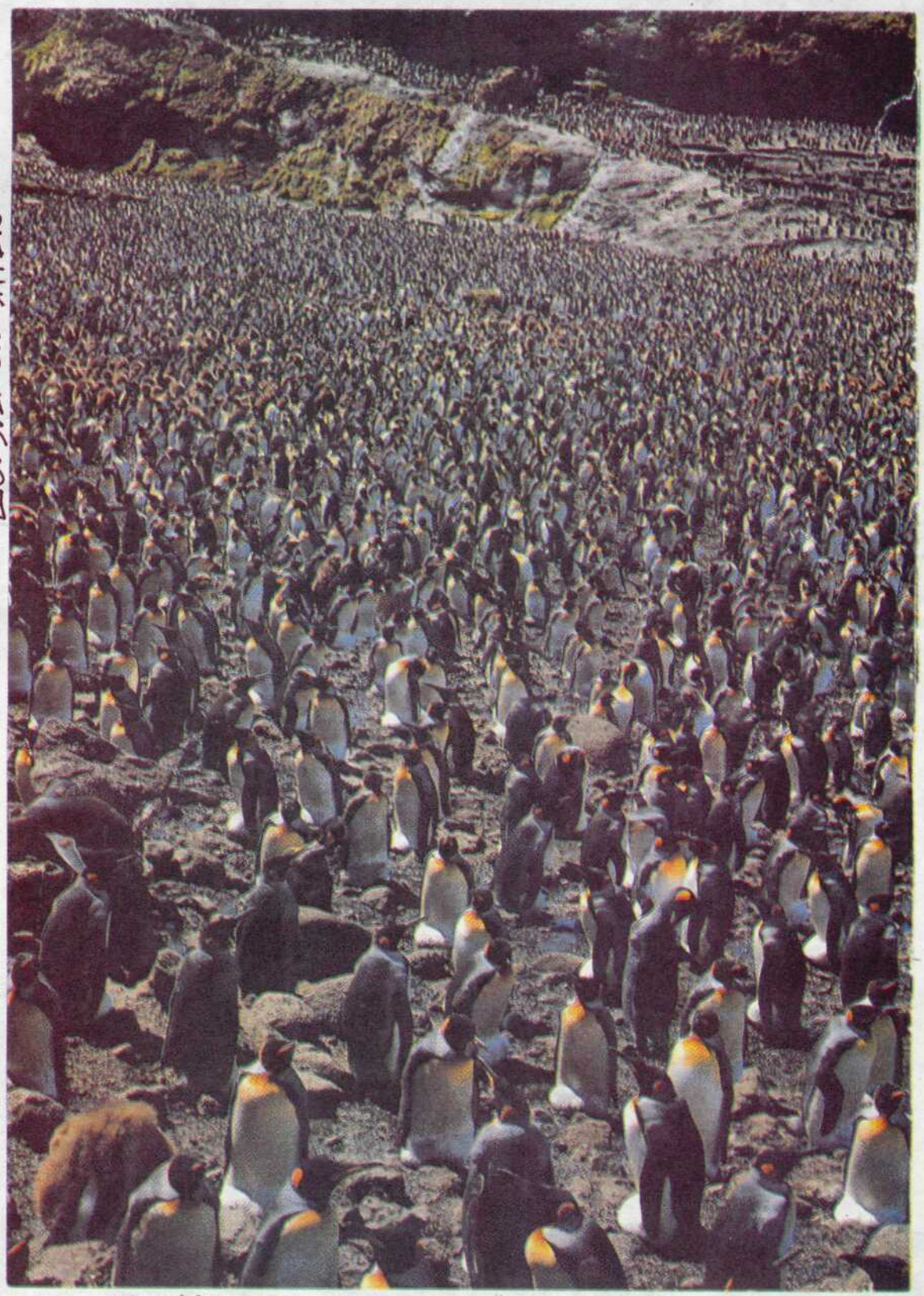

FOT. SVEN GILLÅTER

Cześć! Wysyłam wam zdjęcie do "Fotokonkursu". Co prawda nie jestem autorką tego zdjęcia, ale mam nadzieję, że z podpisem "JAROCIN" nadaje się do publikacji. Pozdrowienia. Aleksandra Matuszek
Katowice 19.07.1989 r.

(WYDAJE SIĘ. MAK.)

PARAMOUNT PICTURES PRESENTS A MIDNIGHT FILMS PRODUCTION OF A PHIL JOANOU FILM U2 RATTLE AND HUM
MUSIC PRODUCED BY JIMMY IOVINE DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY/COLOR JORDAN CRONENWETH, A.S.C. DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY/BLACK & WHITE ROBERT BRINKMANN EXECUTIVE PRODUCER PAUL McGUINNESS PRODUCED BY MICHAEL HAMLYN DIRECTED BY PHIL JOANOU A PARAMOUNT PICTURE
ALBUM AVAILABLE ON ISLAND RECORDS, CASSETTES & COMPACT DISCS
READ THE OFFICIAL BOOK OF THE U2 MOVIE
Distributed by UNITED INTERNATIONAL PICTURES
PRINTED IN ENGLAND

U2
RATTLE AND HUM

DESIRE

Lover I'm off the streets
Gonna go where the bright lights
and the big city meet
With a red guitar, on fire
Desire
She's the candle
burning in my room
I'm like the needle
needle and spoon
Over the counter
with a shotgun
Pretty soon, everybody got one
And the fever when I'm beside her
Desire, Desire

(Burning, Burning)

She's the dollars
She's my protection
She's the promise
In the year of election
Sister, I can't let you go
I'm like a preacher
Stealing hearts at a travelling show
For love or money, money...?
Desire...

© Warner Chappell Music Ltd.